Lwów, Niedziela dnia 16. Lutego 1879 r.

TYDZIEŃ POLSKI.

Nr. 3.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
L. 14 plac halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francji, Anglji, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.
W Krakowie główny skład w Księgarni S. A. Krzyżanowskiego.

HANIA.

Powieść LITWOSA.

V.

(Ciąg dalszy.)

Nie chcąc im przeszkadzać, trzymałem się na uboczu; ale stary gościnny jak prawdziwy szlachcic polski, wnet zaczął mnie podejmować i ściskać i zatrzymywać na noc. Nie chciałem się zgodzić na nocleg, bo pilno mi było do domu, ale musiałem przyjąć wieczerzę. Wyjechałem z Chorzel późną nocą, i kiedym się zbliżał do domu, kurki już weszły na niebie, to się znaczy: była już północ. We wsi nie świeciły okienka, tylko daleko pod lasem widać było światełka ze smolarni. Pod chatami szczekały psy. W alei lipowej, która wiodła do naszego dworu, ciemno było choć oko wykol; jakiś człowiek przejechał z końmi obok, zawodząc półgłosem piosnkę, alem twarzy nie poznał. Zajechałem przed ganek dworu; w oknach było ciemno; widać spali już wszyscy, psy tylko wypadłszy ze wszystkich stron poczęły koło bryczki ujadać. Wysiadłem i zastukałem do drzwi; przez długi czas nie mogłem się dostukać. Zrobiło mi się przykro, sądziłem bowiem, że będą mnie oczekiwać. Po niejakim dopiero czasie, światło zaczęło biegać tu i owdzie po szybach okien, a zaspany głos Franka, spytał:

— Kto tam? — Ozwałem się, Franek otworzył drzwi i zaraz przypadł mi do ręki. Spytałem czy wsyscy zdrowi?

— Zdrowi — odpowiedział Franek — ino starszy pan pojechał do miasta i dopiero jutro ma wrócić.

To mówiąc wprowadził mnie do jadalnego pokoju, zapalił lampę wiszącą nad stołem i wyszedł przyrządzać herbatę. Przez chwilę zostałem sam, z mojemi myślami i z bijącem żywo sercem, ale chwila ta krótko trwała, wkrótce bowiem nadbiegł ksiądz Ludwik w kitlu nocnym, poczciwa pani d'Yves ubrana również w bieli, w swoich zwykłych papilotach i czepku, i Kazio, który o miesiąc wcześniej przyjechał ze szkół na wakacje. Poczciwe serca witały mnie z rozczuleniem; podziwiano mój wzrost, ksiądz utrzymywał, żem zmężniał, pani d'Yves, żem wyładniał. Ksiądz Ludwik, biedaczysko, po niejakim dopiero czasie zaczął mnie wypytywać nieśmiało o egzamina i o patent szkolny, a dowiedziawszy się o moich powodzeniach, aż się rozpłakał, tuląc mnie w objęciach i nazywając kochanym chłopakiem. A wtem z drugiego pokoju rozległ się tętent bosych nużek i wpadły dwie moje siostrzyczki w koszulkach tylko i w czepeczkach, powtarzając: „Henliś psijechał! Henliś psijechał! i wyskoczyły mi na kolana. Naprożno pani d'Yves wstydziła je mówiąc że to niesłychana, rzecz żeby takie dwie panny (jedna miała lat ośm, druga dziewięć) pokazywały się ludziom w takim „dezabilu“. Dziewczynki nie pytając o nic, obejmywały mi szyję malutkiemi rączkami, przytulając swoje śliczne buzie do moich policzków. Po chwili spytałem nieśmiało o Hanię.

— O! urosła! — odpowiedziała pani d'Yves — zaraz tu przyjdzie, tylko się pewno stroi.

Jakoż nie czekałem długo, bo w pięć minut może potem Hania weszła do pokoju. Spojrzałem na nią i, Boże! co się z tej szesnastoletniej wątłej i chudej sierotki zrobiło przez pół roku. Przedemną stała już prawie dorosła, a przynajmniej dorastająca panna. Kształty jej wypełniły i zaokrągliły się cudnie. Twarz miała cerę delikatną, ale zdrową, na policzkach płonęły rumieńce, jakby odblask zorzy porannej. Zdrowie, młodość, świeżość, wdzięk, biły od niej jak od róży na rozkwitaniu. Zauważyłem, że przypatrywała mi się z ciekawością swemi dużemi niebieskiemi oczyma, ale widziałem także, że musiała zrozumieć mój podziw i wrażenie, jakie na mnie czyniła, bo jakiś nieopisany uśmieszek błąka się w kącikach jej ust. W ciekawości, z jaką patrzyliśmy wzajem na siebie, tkwiła już jakaś wstydliwość młodzieńcza i dziewicza. Oho! te proste serdeczne stosunki brata i siostry, stosunki dziecinne poszły sobie gdzieś do lasa, aby nie wrócić więcej.

Ach! jakaż ona była śliczna z tym uśmieszkiem i z cichą radością w oczach!

Swiatło lampy zawieszonej nad stołem padało na jej jasne włosy. Ubrana była w czarną sukienkę i w jakąś równie czarną włożoną naprędce narzutkę, którą przytrzymywała ręką na piersiach pod białą szyjką, ale w ubraniu tem znać było pewien wdzięczny nieład, pochodzący z pospiechu, z jakim je na siebie kładła. Biło od niej ciepło snu. Kiedym na powitanie dotknął jej ręki, ręka ta była ciepła, miękka, aksamitna, a dotknięcie jej przejęło mnie rozkosznem drżeniem. Zmieniła się Hania zarówno wewnętrznie jak i zewnętrznie. Odjechałem ją prostą dziewczynką, napwół służebną, teraz była to panienka o szlachetnym wyrazie twarzy i szlachetnych ruchach, zdradzających dobre wychowanie i nawyknienia dobrego towarzystwa. Rozbudzona moralnie i umysłowo dusza przeglądała jej z oczu. Przestała być dzieckiem pod każdym względem; dowodził tego ów nieokreślony uśmieszek i pewien rodzaj niewinnej kokieterji, z jaką na mnie spoglądała, z czego znać było, że rozumie w jak dalece odmiennym od dawnego stosunku stoimy do siebie dzisiaj. Poznałem wkrótce nawet, że miała pewną wyższość nademną, bo ja, jakkolwiek więcej ćwiczony w naukach, pod względem życiowym, pod względem rozumienia każdego położenia, każdego słowa, byłem jeszcze dość prostym chłopakiem. Hania więcej miała swobody ze mną niż ja z nią. Moja powaga opiekuna i panicza, równie poszła gdzieś do lasu. Przez drogę układałem sobie jak mam Hanię przywitać, co z nią mówić, jak być dla niej zawsze dobrym i pobłażającym, ale

wszystkie te plany runęły zupełnie. Położenie jakoś tak poczęło się zaznaczać, że nie ja dla niej dobrym i łaskawym, ale raczej ona dla mnie dobrą i łaskawą, być się zdawała. Na razie nie zdawałem sobie z tego jasno sprawy, ale czułem to więcej niż rozumiałem. Układałem sobie, że będę wypytywał jej o to, czego się uczy i czego się nauczyła, jak spędzała czas, czy pani d'Yves i ksiądz Ludwik byli z niej kontenci, a tymczasem to ona, zawsze z tym uśmieszkiem w kącikach ust, wypytywała mnie com porabiał, czegom się uczył i co w przyszłości robić zamyślam. Dziwnie się wszystko inaczej działo niż sobie zamierzyłem. Krótko mówiąc: stosunek nasz zmieniony był na wprost odwrotny.

Po godzinnej rozmowie, udaliśmy się wszyscy na spoczynek. Poszedłem do siebie trochę rozmarzony, trochę zawiedziony i pobity, ale przez rozmaite wrażenia. Podsycona na nowo miłość poczęła się przeciskać jak płomień przez szczeliny płonącego budynku i wkrótce pokryła owe wrażenia zupełnie. To poprostu postać Hani, ta postać dziewicza, rozkoszna, pełna uroków, tak jak ją ujrzałem nęcącą owiniętą ciepłem snu, z białą rączką podtrzymującą nieład ubrania na piersiach i z rozpuszczonemi warkoczami, wzburzyła moją młodą wyobraźnię i przesłoniła mi sobą wszystko.

Usnąłem z obrazem jej pod powiekami.

VI.

Nazajutrz wstałem bardzo wcześnie i wybiegłem do ogrodu. Ranek był śliczny, pełen rosy i zapachu kwiatów. Biegłem szybko do grabowego szpaleru, bo serce mówiło mi, że tam zastanę Hanię. Ale widocznie zbyt pochopne do przeczuć serce myliło się, gdyż Hani nie było tam wcale. Dopiero po śniadaniu znalazłem się z nią sam na sam i spytałem, czy nie zechce się przejść po ogrodzie. Zgodziła się chętnie i pobiegłszy do swego pokoiku, wróciła po chwili w dużym kapeluszu ryżowym na głowie, który ocieniał jej czoło i oczy, i z parasolką w ręku. Z pod tego kapelusza uśmiechała się figlarnie do mnie, jakby chciała powiedzieć: „Patrz, jak mi ładnie". Wyszliśmy razem do ogrodu. Skierowałem się do grabowego szpaleru, a przez drogę myślałem o tem, jakby zacząć rozmowę, i o tem, że Hania, która z pewnością umiałaby to lepiej odemnie, nie chce mi dopomódz, ale raczej bawi się mojem zakłopotaniem. Szedłem tedy obok niej w milczeniu, ścinając szpicrutą rosnące po rabatach kwiaty, aż nagle Hania rozśmiała się i chwytając zaszpicrutę, rzekła:

— Panie Henryku, co panu winny te kwiaty?

— Eh! Haniu! co tam kwiaty, ale ot widzisz, nie umiem zacząć z tobą rozmowy; zmieniłaś się bardzo Haniu. Ach! jak ty się zmieniłaś!

— Przypuśćmy, że tak jest. Czy to pana gniewa?

— Tego nie mówię — odrzekłem na wpół smutno — ale nie mogę się z tem oswoić, bo zdaje mi się, że tamta malutka Hania, którą znałem dawniej, i ty, to dwie inne istoty. Tamta zrosła się z memi wspomnieniami, z... mojem sercem — jak siostra, Haniu — jak siostra, a więc...

— A więc ta (tu wskazała paluszkiem na siebie) dla pana jest obca — nieprawdaż? — spytała cicho,

— Haniu! Haniu! jak ty możesz pomyśleć nawet coś podobnego.

— A przecież to bardzo naturalne, choć może smutne — odparła. — Szukasz pan w sercu dawnych braterskich uczuć dla mnie i nie znajdujesz ich — oto i wszystko.

— Nie, Haniu! ja nie w sercu szukam dawnej Hani, bo ona tam jest zawsze; ale szukam jej w tobie, a co do serca...

— Co do serca pana — przerwała mi wesoło — domyślam się, co się z niem stało. Zostało się gdzieś w Warszawie przy jakiemś drugiem szczęśliwem serduszku. Łatwo to odgadnąć!

Spojrzałem jej głęboko w oczy: — sam nie wiedziałem czy mnie trochę bada, czy licząc na wrażenie, jakie na mnie uczyniła wczoraj, a jakiego ukryć nie umiałem, igra sobie ze mną w sposób trochę okrutny. Ale nagle i we mnie obudziła się chęć oporu. Pomyślałem, że muszę mieć arcy-komiczną minę, poglądając na nią wzrokiem dobijanej łani, więc zapanowałem nad uczuciami, jakie poruszyły mną w tej chwili, i odrzekłem:

— A jeżeli tak jest istotnie?

Zaledwie dostrzegalny wyraz zdziwienia i jakby zniechęcenia przemknął po jasnej twarzyczce Hani.

— Jeżeli tak jest istotnie — odparła — a więc to pan się zmienił, nie ja.

To rzekłszy, nachmurzyła się trochę i spoglądając na mnie z pod oka, szła przez jakiś czas w milczeniu, ja zaś starałem się ukryć radośne wzruszenie, jakiem przejęły mnie jej słowa. Ona mówi, myślałem sobie, że jeśli inną kocham — to ja się zmieniłem, zatem nie ona się zmieniła, zatem ona mnie...

I nie śmiałem dokończyć z radości tego mądrego wniosku.

A z tem wszystkiem nie ja, ale ona była zmienioną. Ta przed pół rokiem mała, o bożym świecie nie wiedząca dziewczynka, której na myśl by nie przyszło mówić o uczuciach, i dla której podobna rozmowa byłaby chińskim językiem, dziś prowadziła ją tak swobodnie i wprawnie, jakby recytowała wyuczoną lekcję. Jakże rozwinął się i stał się giętkim ten niedawno dziecinny umysł! Ale z panienkami dzieją się cuda podobne. Niejedna wieczorem zasypia dzieckiem, rankiem budzi się dziewicą, z innym światem uczuć i myśli. Dla Hani z natury bystrej, pojętnej i wrażliwej, pół roku czasu, przejście szesnastu lat wieku, inna sfera towarzyska, nauki, czytane może ukradkiem książki, wszystko to wystarczyło aż nadto.

Ale tymczasem szliśmy obok siebie w milczeniu. Przerwała je teraz pierwsza Hania.

— Więc i oto pan zakochany, panie Henryku?

— Może — odpowiedziałem z uśmiechem.

— To pan będzie tęsknił za Warszawą!

— Nie, Haniu. Radbym nigdy ztąd nie wyjeżdżać.

Hania spojrzała na mnie szybko Chciała widocznie coś powiedzieć i zamilkła, ale po chwili uderzyła z lekka parasolką po sukni i rzekła jakby odpowiadając na własne myśli;

— Ach! jakże ja jestem dziecinna!

— Dla czego to mówisz, Haniu? — spytałem.

— E! nic. Siądźmy na tej ławce i mówmy o czem innem. Prawda jaki ztąd piękny widok?— spytała nagle ze znanym mi uśmiechem na ustach.

Siadła na ławce nieopodal szpaleru, pod ogromną lipą, zkąd istotnie widok był bardzo piękny na staw, groblę i las za stawem. Hania ukazywała mi go parasolką, ale ja, jakkolwiek miłośnik pięknych widoków, nie miałem najmniejszej ochoty nań patrzeć, bo raz, że znałem go doskonale, powtóre miałem przed sobę Hanię, piękniejszą stokroć od wszystkiego, co ją otaczało, a na koniec myślałem zupełnie o czem innem.

— Jak tam ślicznie te drzewa odbijają się w wodzie — mówiła Hania.

— Widzę, że jesteś artystką — odparłem nie patrząc w stronę drzew, ani wody.

— Ksiądz Ludwik uczy mnie rysować. O ja dużo się uczyłam przez ten czas, kiedy pana tu nie było; chciałam... ale co panu jest? czy się pan gniewa na mnie?

— Nie, Haniu, ja się nie gniewam, bo nie umiałbym się gniewać na ciebie, ale widzę, że wymijasz moje pytania, i że ot! oboje gramy z sobą w ślepą babkę, zamiast rozmawiać szczerze i z ufnością jak za dawnych czasów. Może ty tego nie czujesz, ale mnie to przykro. Haniu!...

Te proste słowa sprawiły tylko ten skutek, że wprowadziły nas oboje w ogromne zakłopotanie, Hania podała mi wprawdzie obie ręce; ja uścisnąłem te ręce może zbyt silnie, i o zgrozo! pochyliwszy się szybko, ucałowałem je wcale jakoś nie tak, jak na opiekuna przystało. Następnie zmięszaliśmy się oboje do najwyższego stopnia: ona zaczerwieniła się aż po szyjkę, ja również, i wreszcie zamilkliśmy nie wiedząc ani be, ani me, jak zacząć tę rozmowę, która miała niby być szczerą i pełną ufności.

Potem ona spojrzała na mnie, ja na nią, i znowu wywiesiliśmy na twarzach czerwone chorągwie. Siedzieliśmy obok siebie jak dwie lalki; zdawało mi się, że słyszę przyspieszone bicie własnego serca. Położenie nasze było nieznośne. Chwilami czułem, że jakaś ręka bierze mnie za kołnierz i chce rzucić do jej stóp, a druga trzyma za włosy i nie puszcza, nagle Hania zerwała się, i rzekła szybkim, pomieszanym głosem:

— Muszę już iść; mam lekcję o tej godzinie z panią d'Yves: już blisko jedynasta.

Udaliśmy się tą drogą ku domowi. Szliśmy tak jak i poprzednio w milczeniu; ja, jak i poprzednio ścinałem szpicrutą główki kwiatów, ale ona już nie litowała się nad niemi.

Pięknie wróciły nasze dawne stosunki, nie ma co mówić.

— Jezus Marja! co się ze mną dzieje, pomyślałem sobie kiedy Hania pozostawiła mnie samego. Byłem zakochany tak, że aż włosy powstawały mi na głowie.

Tymczasem nadszedł ksiądz Ludwik i wziął mnie z sobą do gospodarstwa. Po drodze opowiadał mi mnóstwo rozmaitych rzeczy, tyczących się naszego majątku, które nie zajmowały mnie ani trochę, choć udawałem, że słucham uważnie.

Brat mój, Kazio, który korzystając z wa-

kacji, całe dnie przesiadywał za domem, w stajniach, w lesie, ze strzelbą, na koniu lub na łodzi, w tej chwili właśnie ujeżdżał pod wierzch na podwórzu folwarcznem młode konie ze stadniny. Ujrzawszy mnie i księdza, przygalopował do nas na jakimś kasztanie, który rzucał się pod nim jak wściekły i kazał nam podziwiać jego kształty, ogień i chód, poczem zsiadł i poszedł z nami. Zwiedziliśmy razem stajnie, obory, stodoły i wybieraliśmy się właśnie w pole, gdy dano znać, że przyjechał mój ojciec, trzeba więc było wrócić do domu. Ojciec przywitał mnie tak gorąco, jak nigdy. Dowiedziawszy się o egzaminach, wziął mnie w objęcia i oświadczył, że odtąd chce mnie uważać za dorosłego. Jakoż istotnie w obejściu jego ze mną zaszły wielkie zmiany. Traktował mnie poufalej i serdeczniej. Zaraz począł ze mną mówić o interesach naszych majątkowych, zwierzył mi się z zamiarami dokupienia jednego z sąsiednich majątków, i pytał mnie o zdanie. Domyśliłem się, że mówi o tem umyślnie, aby okazać mi jak poważnie sam patrzy na znaczenie moje, jako dorosłego i najstarszego syna w rodzinie. A przytem widziałem, jak dalece istotnie cieszył się mną i postępami memi w nauce. Nigdy nie patrzył na mnie z taką miłością jak obecnie. Dumie jego rodzicielskiej pochlebiały niezmiernie świadectwa nauczycieli, jakie z sobą przywiozłem. Zauważyłem przytem, że bada mój charakter, sposób myślenia, pojęcia o honorze, i że umyślnie zadaje mi rozmaite pytania, aby mnie z nich wymiarkować. I widać egzamin ten rodzicielski wypadł pomyślnie, bo jakkolwiek zasady moje filozoficzne i społeczne były już arcy od ojcowskich odmienne, alem się z niemi nie wydał, w innych zaś pojęciach nie mogliśmy się różnić. To też surowa, lwia twarz mego ojca rozjaśniona była jak nigdy. Obsypał mnie tego jeszcze dnia darami, darował mi parę pistoletów, z których strzelał się nie dawno z p. von Zollen, i na których zakarbowanych było kilka innych pojedynków, jakie odbywał za młodych swych lat, służąc wojskowo. Następnie otrzymałem pysznego konia wschodniej krwi i starą szablę po ojcach z rękojeścią sadzoną kamieniami, z klingą szeroką damasceńską, z obrazem Matki Boskiej cyzelowanym złotem na stali i z napisem: Jezus Marja! Szabla ta stanowiła jednę z najcelniejszych naszych pamiątek rodzinnych, a przytem wieczny, od dawnych lat przedmiot westchnień moich i Kazia, bo cięła żelazo jak wióry. Ojciec dając mi ją, wydobył ją z pochwy, machnął nią pary razy, aż zawarczało powietrze i blask zrobił się w pokoju, potem nakreślił nią krzyż nad moją głową, ucałował obraz Matki Boskiej i wręczając mi ją, rzekł: „W godne ręce! ja nie zrobiłem jej wstydu, nie zrób i ty!“ Potem rzuciliśmy się sobie w objęcia, a szablę tymczasem porwał z zapałem Kazio, i jakkolwiek piętnastoletni dopiero chłopak, ale nadzwyczaj silny, począł wykonywać nią cięcia, których dokładności i szybkości nie powstydziłby się żaden doświadczony nauczyciel fechtunku. Ojciec spoglądał na niego z zadowoleniem i rzekł:

— To będzie gracz, ale i ty tak potrafisz? nieprawda?

— Potrafię, ojcze. Kaziowi bym jeszcze poradził. Ze wszystkich kolegów, z którymi uczyłem się razem fechtować, jeden przewyższał mnie tylko.

— Kto taki?

— Selim Mirza.

Ojciec skrzywił się.

— Ach! Mirza! ale ty musisz być silniejszy.

— To też to jedno, co pozwala mi się z nim trzymać. No, ale przecież z Selimem nie pobijemy się nigdy.

— Ej! różnie to bywa — odpowiedział mój ojciec. (C. d. n.)

LEON SAPIEHA.

(Ciąg dalszy.)

Po upadku Warszawy szedł z główną armią na Modlin ku granicy pruskiej, ale w chwili przejścia przez granicę opuścił armię, aby ujść, jak się wyraża w pamiętniku, „smutnego i bolesnego aktu rozzbrojenia, a oraz z obawy aby Prusacy nie wydali oficerów w ręce Moskali“.

Obawa ta była o tyle uzasadnioną, że, jak późniejsze wypadki okazały, rządowi carskiemu rzeczywiście wiele zależało na tem, aby Sapiehę dostać w swoje ręce.

Przeszedłszy nocą granicę pruską osobno od reszty wojska dostał się do Wrocławia gdzie zastał już żonę i dzieci. Przebywał tu Sapieha przez trzy miesiące, ale ciągły nadzór i dokuczanie mu ze strony pruskiej policji zniewoliło go szukać gdzieindziej schronienia. Najmniej niebezpiecznym punktem na ziemi polskiej zdawał się wówczas być Kraków jako zawsze jeszcze „wolne“ miasto. Jaką była ta „wolność“ to okazała niedaleka przyszłość.

W Krakowie doznał Sapieha bardzo dobrego przyjęcia, nietylko ze strony rodaków ale nawet doznawał wiele uprzejmości ze strony konsula austrjackiego, Lorenza. Czuł się tam ks. Leon bezpiecznym, jakkolwiek go ostrzegano, że Moskale mają zamiar bez wszelkiego pytania się o czyjekolwiek pozwolenie wpaść do Krakowa i porwać go wraz z trzyletnim synkiem. Pytał on się Lorenza, czy to być może, a gdy ten go uspokoił, postanowił stale osiąść w Krakowie. Pewnego dnia jednak doniesiono mu, że Lorenz był dwa razy u niego, pod jego nieobecność w domu. Domyślając się, że chodzi o jakąś ważną wiadomość, udał się natychmiast do Lorenza, który też go uwiadomił, że jeszcze tej samej nocy mają Moskale wkroczyć do Krakowa i że za jego bezpieczeństwo dalej ręczyć nie może.

Schronił się więc nocą na Podgorze. Przebył tu chwile niedostatku, o których pisze: Nastały czasy przykre, żyć trzeba było nędzniej, jak najbiedniejszy wyrobnik — kartofle, grochowa zupa, rzadko kiedy kasza i to bez omasty, były jedyną strawą, na którą stać było. Niedługo jednak trwał ten czas próby.

Majątek własny stracił ks. Leon zupełnie. Skazany został na śmierć przez rząd moskiewski a dobra jego skonfiskowano. Pozostawiono jednak matce dożywocie tych wielkich dóbr. Ona korzystała z dożywocia po macierzyńsku, bo oddawała większą część dochodu synowi. Nim to atoli mogło przyjść do skutku odstąpił był Ordynat Zamojski Sapieże dochody z wsi Piskorowic koło Sieniawy, gdzie tenże chwilowo zamieszkał. Ostrzeżony wszakże przez jednego z urzędników austrjackich, że miał być porwany przez kozaków, przeniósł się do Lwowa.

Z razu tylko cierpiany przez rząd austrjacki ustalił zwolna swoje stanowisko tak, że mógł rozpocząć działanie nowe, pełne zbawiennych skutków dla kraju.

Z dochodów udzielanych mu z dożywocia matki zakupywał posiadłości ziemskie w Galicji i nabył praw obywatelstwa austrjackiego.

Odtąd zaczyna się nowa era w życiu Sapiehy — era czynności.

Sapieha przestał rychło być tułaczem, bo już w latach 1833 i następnych zaczął nabywać dobra w Galicji. Żurawice w Przemyskim a następnie Krasiczyn należały do pierwszych jego nabytków. Krasiczyn zawdzięcza też jemu, że zachowany został w swojej pomnikowej postaci.

Jednak nie ograniczał on się jedynie na ustaleniu własnych majątkowych stosunków.

Jako dobry gospodarz tak prywatny, jak i narodowy rozumiał on to bardzo dobrze, iż poprawienie ogólnych stosunków ekonomicznych i społecznych w kraju idzie w parze z dobrym bytem pojedyńczych obywateli, a raczej staje się źródłem polepszenia ich bytu.

Dla tego zwrócił Sapieha pierwszą uwagę na zniesienie pańszczyzny. Już w Piskorowicach, które mu oddał był na chwilę Ordynat Zamojski do użytku przeprowadził zmianę pańszczyzny na czynsze.

Później zaś, gdy nabywać zaczął dobra w Galicji i zapisany do stanów galicyjskich zaczął brać udział w sejmach postulatowych, była jedną z pierwszych i głównych prac jego, ta około zniesienia pańszczyzny.

Było to w ówczesnych stosunkach rzeczą niezmiernie trudną. Ks. Leon napotykał w tej mierze pojedyńczych zwolenników między obywatelstwem i pomocników między urzędnikami rządowymi. Atoli stało mu wielce na przeszkodzie niewyrozumienie ogółu obywatelstwa z jednej strony i niechęć rządu z drugiej strony.

Wiadomo na jaką opozycję natrafiała myśl zniesienia pańszczyzny między szlachtą, jak we wnętrzu swojem byli temu przeciwni nawet ci, którzy nie mieli odwagi wystąpić jawnie z opozycją.

Że rząd zaś krzywem okiem patrzył na inicjatywę ze strony szlachty do zniesienia pańszczyzny, bo mu się usuwał przez to powód do utrzymywania ustawicznej rozterki między szlachtą a chłopstwem, to jest rzeczą również wiadomą...

Nie zrażało Sapiehę ani jedno, ani drugie, pracował on statecznie nad wykonaniem raz powziętej myśli, chociaż nie występował nigdy namiętnie ani nawet gorąco w jej obronie.

Uśmiechał on się tylko na argumenta przeciw zniesieniu pańszczyzny, litował się nad nierozumieniem własnego interesu ze strony szlachty w kółkach poufnych, ale nie objawiał nigdy publicznie żadnej nagany tej małodusznej opozycji.

Wyrażał się nawet czasem: *głupia szlachta,* kiedy mu już zanadto było tego uporu oponentów, ale wiemy to z ust takich ludzi, którym tylko „we cztery oczy“ czynił tę uwagę, nigdy zaś w wielkiem kole.

W ogóle cała sprawa była obrabianą pierwej w kołach poufnych nim z nią wystąpiono na sejmie. W sejmie poruszono tę kwestję w sposób nader nieśmiały, a już i to nieśmiałe wystąpienie obudziło wielkie podejrzenie a nawet gniew w kołach rządowych.

*

Najwyższy naczelnik policji austrjackiej za czasów meternichowskich, Sedlnitzky, zarzucał stanom galicyjskim *jakobinizm*, czem wówczas piętnowano wszelkie wolnomyślne dążności.

Organa rządowe starały się też różnemi sposobami ściągać podejrzenie na ks. Leona i politycznie go skompromitować. Z okazji spisków odkrytych w latach 1840 i następnych śledziła policja za najmniejszym śladem, który mógł ks. Leona podać w podejrzenie, jakoby miał udział w tych spiskach.

Nie udało się jednak nic wykryć, bo ks. Leon był zawsze przeciwnikiem spisków i nigdy do żadnych nie należał.

Skończyło się na tem, że się policja wystawiła na śmiech.

Wiemy to z ust jednego z ówczesnych *radców gubernjalnych*, że policja odkrywszy między uczniami przemyskiemi całkiem niewinny związek do wspólnego czytywania polskich książek, przywiązywała wielką wagę do tego, że jeden z członków tego związku był przezwanym *sapiuszko*, pomimo tego, że sprawdziła sama, iż to było tylko żartobliwe przezwanie tego uczęstnika owego kółka za to, że podczas czytania zawsze drzemał i mocno sapał.

Gdyby między *gubernialrathami* nie znajdował się był Tadeusz Wasilewski i kilku innych rozsądniejszych, byłaby ta sprawa posłużyła do rzucenia podejrzenia na Sapiehę, choć nie miała z nim innego związku, jak tylko, że żartobliwe przezwanie jednego z członków tego niewinnego kółka brzmi podobnie do jego nazwiska.

Że się nie usuwał od działania żadnego w sprawach narodowych najlepszym dowodem udział jego w wypadkach r. 1846. Pracował on wtedy nad tem aby odwieść swoich od zamiaru wywołania powstania; z drugiej zaś strony nie wahał się, z narażeniem swojej osoby, występować w obec wszechwładnego wówczas w Galicji, barona Kriega, przeciwko prowakacyjnemu działaniu rządu. Z dowodami w ręku wykazywał, do jakiego stopnia rząd przez swoich agentów podniecał żywioły gorętsze w kraju i do jakiego stopnia pracował nad podburzeniem włościan do społecznej kontrrewolucji. Pamiętną też dał odpowiedź Krieg księciu Leonowi: *krew może będzie się lała, ale potem nastąpi zupełny i wieczny spokój.*

Agenci rządowi czynili wówczas wszelkiego rodzaju wysilenia, aby ks. Leona skompromitować i spowodować jego uwięzienie.

Okoliczności te znane nam z pogłosek, których sprawdzić za jego życia nie mieliśmy sposobności, stwierdza ks. Leon w swoim pamiętniku.

Nasyłano do niego różne osoby, które pod pozorem życzliwości radziły mu, aby jak najprędzej uciekał, obsypywano go listami bezimiennymi, ostrzegającymi, że ma być uwięzionym i zkazanym na śmierć, podrzucano mu nawet jakieś fałszowane odezwy i pisma niby od spiskowych pochodzące, które miały dowodzić, że stał na czele tajnej organizacji.

Dowiedział on się też we dwa lata później, gdy rok 1848 rozwiązał usta wielu osobom rządowym, od pewnej takiej wysoko położonej osoby, (której jednak nie chciał wymienić) że intryga przeciwko niemu miała swoje źródło w Petersburgu.

W roku 1848, który, aczkolwiek nie samą tylko Austrją wstrząsł, był wszelako dla niej jakoby karą za rok 1846, książę Leon nie brał czynnego udziału w tym ruchu. Stawiano jednakże jego kandydaturę na posła do sejmu rakuskiego, w okręgu lubaczowskim, ale tam został wybranym Smolka.

Gdy nastąpiły czasy reakcji i wiele młodzieży chroniło się przed prześladowaniem politycznem ucieczką, był znowu ks. Leon pomocnym w udzielaniu ochrony.

Przyjął ks. Leon do siebie w depozyt pieniądze przeznaczone na ten cel, a przez ręce piszącego niniejsze wspomnienie udzielił 1000 złr. takim zbiegom politycznym, którzy wszyscy wzięli udział w wojnie węgierskiej.

(C. d. n.)

POLITYCZNE KARJERY

Opowiadanie z niedawnych czasów

przez

MICHAŁA BAŁUCKIEGO.

(Ciąg dalszy).

Słusznie myślał tajemniczy towarzysz, że pan Apoloniusz urodził się pod szczęśliwą gwiazdą, rzeczywiście ta gwiazda prowadziła go lepiej jak trzech mędrców ze Wschodu, bo go po drodze nie zaprowadziła do krwiożerczego Heroda, ale go zawiodła do upragnionego bezpieczeństwa. Los bowiem uprzedził tajne życzenia jego. Panna Sempronja otrzymała polecenie oddania organizacji miasta jednemu z zaufanych, któryby potrzebną ku temu posiadał energię i miał stosunki. Panna Sempronja nie wiedząc o nikim innym wybrała Apoloniusza i posłała służącego dowiedzieć się, czy jest jeszcze w mieście. *Szczęściem był* i niezwłocznie się stawił, a usłyszawszy żądanie panny Sempronji, *zmartwił się* niesłychanie, mówił, że mu przykro siedzieć teraz w mieście bezczynnie. Panna Sempronja ubolewając nad jego dolą mówiła znowu, że i jej przykro, że go odwodzi od najświętszego obowiązku, ale że i tutaj wielkie usługi będzie mógł czynić, że nie ma w mieście człowieka, któryby go godnie zastąpił, że stan taki nie długo potrwa, że po organizacji będzie mógł udać się tam, gdzie go woła serce i powinność. Pan Apoloniusz w końcu *przystał*.

Trzeba przyznać, że od tego czasu nie siedział próżno, że czynnie zajął się sprawami mu zleconemi. Ja go nie chwalę, ale jeżeli mi nie wierzycie, spytajcie się dorożkarzy miastowych, spytajcie konduktorów kolei i poczty, a oni dadzą świadectwo prawdzie, oni powiedzą wiele razy przewozili zacną osobę pana Apoloniusza tu i tam. Prawda, że i ćma koło świecy czynnie się uwija i jest w ciągłym ruchu, ale co ćma to nie pan Apoloniusz. Wyrzekł się zabaw i rozrywek (czasem tylko odwiedzał teatr i restauracje, ale nie dla marnej zabawy, jak sam mówił, jeno dla schadzki, dla interesu). Urządził biuro, rozdawał urzęda znajomym, wydawał rozkazy, zgoła pan Apoloniusz stał się człowiekiem czynu, pieśni zamarły w jego piersiach, czasem tylko w mowach i rozprawach pieprzył niemi. Rozkazy pana Apoloniusza miały największy posłuch u klasy, do której liczył się pan Hilary. Poczciwe mieszczaństwo nie rozumując ale czując głęboko, nie uchylało się od żadnego najcięższego obowiązku. Podatki, ofiary z pieniędzy, z produktów, z życia kładli chętnie i skoro dla sprawy, przekonani, że ludzie co nią kierują, dobrze tego wszystkiego użyć będą umieli. Niestety, inaczej się stało. My wiemy ile niedołęstwo i zła wiara podobnych panu Apoloniuszowi zmarniła ofiar, ile wdowich groszy padło na złe sumienia. Nie wina w tem rządu, ale smutnych okoliczności, które zmuszały tajną organizację brać ludzi, którzy się ofiarowali, których polecono, a nie tych, którychby chcieli. Ale zawcześnie dziś o tem mówić; obrabiajmy sobie dalej pana Apoloniusza, idźmy w ślad za jego pracami i trudami. Trudy były rzeczywiście niemałe, zwłaszcza, gdy czynności zmuszały go ocierać się o tak zwaną partją białych.

Partja ta, której nazwa sama dowodzi bezkrwistości, bezbarwności, smutne w obecnych chwilach zajęła stanowisko. Ci, którym położenie majątkowe i socjalne dawały możność i obowiązek przodkowania, cofnęli się w tył, umyli ręce jak Piłat i dzierżąc na wodzy rozsądku zapał patrjotyczny zażegnywali burze, co im miała sprowadzić ruinę ładnych majątków i czekali rychło ta chwilowa nawała ucichnie, bo w trwałość jej nie wierzyli nigdy. Najświętszy zapał nazwali szaleństwem, damy mdlały na wieść o strasznych wypadkach, panowie z głębokiem westchnieniem odczytywali gazety, ubolewali nad nierozsądnym krokiem i stawiali dyplomatyczne horoskopy. I dziwić się temu nie można. Dostatek i szczęście czyni ludzi samolubami, dusza rozkołysana na huśtawce rozkoszy, nie umie zdobyć się na poświęcenie, na zaparcie się. Uznać obecny ruch, było to wyrzec się wygód, przyjemności, spokoju, a wziąć na siebie jarzmo obowiązków, trudy cierpienia; uznać obecny ruch, było to oddać palmę pierwszeństwa i zasługi tym, którzy pierwej przyszli do przekonania o potrzebie tego ruchu, a więc ludziom nieznanym, ludziom bez przeszłości, na to duma rodowa, na to trumny ojców nie pozwalały. Cóż więc uczynili? Oto uważając siebie za cały naród, ruch uważali jako czynność pewnego stronnictwa szaleńców. Bohaterowie nieboskiej komedji! Kiedy trzynaście lat temu krew wasza płaciła pokutny dług za winy wasze i ojców waszych, naród nie oddzielał się od was, razem z wami cierpiał, razem z wami płakał, i nawet *kasty* nie nazwał *stronnictwem*. A co będzie gdy się od was z pogardą odwrócą? gdy złączywszy się z ludem, ale dajmy pokój proroctwom. Śmiesznie wygląda powieściopisarz w płaszczu Jeremiego, to tylko powiem, że wtedy źle, bardzo źle będzie, że cierpienie będzie wtedy straszną nauką. Prawda ta musi być jeszcze bardzo daleko od nas, kiedy tak rozsądni ludzie jak herbownicy, nie widzą jej, kiedy tak ignorują najświętsze obowiązki i gdyby nie opinja... Ta plotkarka wielce zatruwa życie. Nie jeden stałby się jawno-podłym gdyby nie opinja, inny byłby bardzo poczciwym człowiekiem gdyby nie opinja. Otóż ta opinja sprawiała bezsenność i niestrawność ludziom o białej krwi. Niepodobna, rozumowali, wśród obecnych chwil stać na boku, być głazem wśród potoku dziejowego, trzeba koniecznie coś wymyśleć na swoje usprawiedliwienie się w oczach opinji. Ludzie tacy jak pan Apoloniusz wygodną im do tego nastręczali sposobność. Jak możemy, mówili, oni, przystąpić do ruchu, oddać wszystko na ofiarę, gdy u steru widzimy ludzi, którzy nam ani zdolnościami ani charakterem nie dają żadnej gwarancji? Tak rozumował także pan hrabia...

ojciec Marji, gdy do niego przyszedł pan Apoloniusz żądając podatku. Z dumą wchodził nasz bohater do tych pokojów, z których tak niefortunnie kiedyś wychodzić musiał, z dumą przywitał hrabiego zdziwionego tą niespodziewaną wizytą, usiadł w krześle, wydobył kawałeczek niebieskiego papieru, pokazał hrabiemu i tryumfująco rozglądał się po pokoju, patrzał po suficie podczas gdy hrabia kartkę czytał. Była to scena przypominająca scenę w zamku z nieboskiej komedji, gdy Pankracy u hrabiego Henryka opierał się na herbowej tarczy; a lubo tutaj pan Apoloniusz tylko na poręczy krzesła się opierał, przecież niemniej dumnie i tryumfująco się opierał.

Hrabia przeczytał kartkę, oddał oddawcy i spytał:

— Cóż więc pana do mnie sprowadza?

— Mam polecenie żądać od pana w imieniu władzy, ktorej jestem reprezentantem, sumy 1000 zł. na potrzeby krajowe — hrabia aż pobladł — prędko odzyskał kolory, pogładził bokobrody i rzekł trochę ironicznie się uśmiechając:

— Jestto bardzo pięknie, bardzo ładnie, ale przyznasz pan, że trudno robić tak wielkie ofiary dla władzy, której się nie widzi, nie zna. My nie możemy grać w ślepą babkę.

— Ofiary nie dla rządu, ale dla narodu — rzekł poważnie i zimno pan Apoloniusz.

— A jeżeli ofiary bezowocne? Jeżeli obecny ruch zaimprowizowany przyczyni nam tylko nieszczęść? Mógłbym panu liczebnie to wykazać...

Pan Apoloniusz czuł, że w rozprawie zwycięży hrabia, powstał więc gwałtownie i rzekł:

— Nie mamy co z sobą dłużej gadać, dasz pan czy nie?

— Nie, panie — rzekł hrabia grzecznie.

— Żegnam, będę wiedział jak sobie postąpić. — To rzekł i zwrócił się ku drzwiom i spotkał się oko w oko z hrabianką Marją. Pierwsza miłość zagrała we wszystkich żyłach naszego rycerza.

— A! pan Apoloniusz? — rzekła hrabianka — cóż pana do nas sprowadza?

Bohater nasz zapomniał o minionej scenie, zapomniał że ta, która przed nim stała, jest z kasty, której on walkę wypowiedział i zabierał się na grzeczną odpowiedź, gdy zbliżył się hrabia i przerwał mu:

— Myślę, że pan nie masz powodu zatrzymywać się dłużej w moim domu. — I oczami na drzwi pokazał. Apoloniusz zacisnął pięści i wyleciał. Na drugi dzień hrabia otrzymał dekret śmierci, który jednak dotąd nie spełnił się.

Tymczasem z pola walki coraz smutniejsze dochodziły wieści. Wielu zginęło, wielu wróciło. Poczciwy Erazm zginął męczeńską śmiercią. Śmierć jego przykre wrażenie zrobiła na panu Apoloniuszu, był to bolesny, gorzki wyrzut. Człowiek, którym on pogardzał, poszedł tam, gdzie go powinność wołała, poszedł i zginął, a on? A gdyby też i on poszedł? ależ znowu kula w piersiach, to gość niemiły. Po cóż chodzić szukać nieszczęścia, gdy ono i tak wcześniej czy później najdzie człowieka, zresztą jak tu iść, kiedy inni wracają, kiedy sprawa upada. Z powracającymi wrócił także ów tajemniczy towarzysz pana Apoloniusza, nie ranny wprawdzie, ale mocno zbiedzony głodem, niewczasami i strachem. Strach mówią, ma wielkie oczy, musi mieć i gębę nie małą, bo w kilku dniach pożarł tuszę tajemniczego człowieka, którego tu nazwiemy Przylepkiem i nie bez przyczyny. Eustachy Przylepek był bowiem jednym z tych ludzi, których natura (a może i wychowanie) obdarzyła we wszystko prócz silnej woli. Zarówno mógł stać się zbrodniarzem, jak świętym, sybarytą i spartaninem, zależało to od otoczenia, w jakiem się znajdował, od wpływu zewnętrznego. Że podobne usposobienia nieraz widzieć się dają, każdy mi przyzna, i ztąd łatwo wytłumaczyć sobie o wiele, owe nagłe przechody w ostateczności. Ostateczności się stykają. Tak było u pana Eustachego. Był on jak glina w ręku rzeźbiarza, i potrzebował zawsze rzeźbiarza. Pan Apoloniusz, jako silniejszej woli, potęgowanej zarozumiałością, wywierał wielki wpływ na swego towarzysza, ztąd wywiązała się zażyłość pewna. Pan Apoloniusz był rad, że ma komu rozkazywać, Pan Eustachy że ma kogo słuchać. Ludzie nazwali to przyjaźnią, ja nie mam na to wyrażenia. Eustachy Przylepek podziwiał zręczność i sprężystość Apoloniusza, jego prawy charakter (bo lewego pan Apoloniusz nie odsłaniał przed nim), jego talent i przeczuwał świetny los jego. Ta myśl jeszcze bardziej przyczepiła się do niego. Dzień 23. stycznia rozdzielił ich na chwilę, ale teraz złączył znowu i pan Apoloniusz rzekł Przylepce: Zostaniesz, jesteś mi potrzebny, a gdy pójdziemy, to pójdziemy razem!

Nadeszła wreszcie upragniona chwila, w której bohater nasz, pozbył się ciężkiego jarzma obowiązków i mógł iść tam, gdzie go (chciałem powiedzieć serce, lecz wolę powiedzieć) opinja *ciągnęła*. Chwila ta przyszła pierwej niż się spodziewał. Stało się to podczas nagłej przemiany rządu. Pan Apoloniusz został nagle bez urzędu. To byłoby mniejsza, ale to gorsza, że kiedy spadła urzędowa szata, po za którą krył się przed grubjańską śmiercią, obowiązek wymarszu stawał się codzień konieczniejszy, natrętniejszy pod utratą tak mozolnie nabytego imienia. Pan Apoloniusz począł się więc ekwipować na wojnę. Najwymyślniejszy elegant nie potrzebowałby tyle przyborów i zasobów do swej toalety, ile ich potrzebował dostojny nasz ex minister. Więc torby, torebki, tornistry, patrontasze, pasy, rzemienie, jedwabne koszule, koszule flanelowe, kaftaniki łosiowe, czapki z drutami, koszulki druciane, apteczka polowa, neceserka polowa, manierki, guńki, burki, to znowu buliony, cytryny, suchary, herbata, i mnóstwo innych instrumentów i odzieży, której tu nie wymienię, wszystko to kupował, odmieniał, poprawiał.

Takie przygotowanie trwało prawie miesiąc cały.

Nagle bohater nasz i jego tajemniczy towarzysz znikli z miasta. Złośliwe języki ludzi, których kłóła w oczy buńczuczna mina pana Apoloniusza, najszkaradniejsze wymyślali przyczyny jego zniknięcia, tak szkaradne, że nawet powtórzyć się nie godzi. Panna Sempronja znowu inaczej wiedziała, ona wiedziała, że pan Apoloniusz z zasady odsunął się od spraw krajowych, widząc je źle prowadzonemi a usunął się z widowni raz dlatego, aby nie patrzeć na intrygi, a drugi raz, aby się uwolnić od natrętnych ludzi; pan Eustachy znowu inaczej wiedział a raczej się dorozumiewał, tj. że panu Apoloniuszowi groziło niebezpieczeństwo i dlatego chronić się musiał, albo że wyjazd ten miał na celu propagandę jakąś między ludem. Najlepiej wiedział pan Apoloniusz dlaczego drapnął z miasta, ale z tego nawet przed sobą nigdy szczerze się nie spowiadał. My damy tu mały komentarz, kto na wsi siedzi tego w mieście nie ma, kogo w mieście nie ma, ten Bóg wie gdzie poszedł, może bić się? Czy takie nadzieje miał pan Apoloniusz wyjeżdżając na wieś, czy oprócz tych jeszcze inne jakie, nie wiem. Dość, że wyjechał po trudach odetchnąć świeżem wiejskiem powietrzem i użyć spokoju. Na wsi nie ma natrętów, którzyby co chwila pytali: Kiedy idziesz? Wyjechał zaś do rodziców jednego ze swoich podwładnych za czasów urzędowania. Młody ten człowiek zapowiedział swym rodzicom, że ważna urzędowa figura przepędzi u nich kilka tygodni. Mama i dwie siostry z niezmierną radością przyjęły tę nowinę, tylko tatko dość obojętną zachował powagę.

Opuszczamy więc brzydkie miasto, pełne kamienic, intryg, ludzi i wrzawy a jedziemy na wieś, a było to przy końcu maja. Istna sielanka. Skowronki nucą, strumyki szemrzą, zielone fale zboża kłaniają się przejeżdżającym, Pan Apoloniusz widział w tych ukłonach hołd natury oddany jago zasłudze i także kiwał głową. Wreszcie zabłysnął biały dworek, cel ich podróży, zajechali przed ganek umajony dzikiem winem, przed domem klomby kwiatów, po bokach duże ciemne lipy, do tego w oknach rumiane twarzyczki panien, wszystko to upajało pana Apoloniusza. Nie zapominajmy, że był dawniej poetą, więc umiał czuć wdzięk przyrodzenia. Pana domu nie było, był w polu, więc panie przyjmowały młodych. Panie to były zacne, poczciwe a dobre, całem sercem Polki.

Matka dobra, uśmiechnięta staruszka, dwie jej córki Klara i Florka rumiane jak jabłuszka, pulchniutkie, śmieszki z figlarnemi oczkami, witały ich z tą serdeczną uprzejmością, która chwyta za serca i każe uważać się jak we własnym domu. Pan Apoloniusz chciał z początku grać rolę smutnego, zamyślonego, poważnego i tajemniczego; ale widząc, że podobna mina robiła na panny takie wrażenie, jak strach w pszenicy na ptactwo, zmienił rolę i puścił się w wesołą rozmowę z pannami (mama tymczasem przyrządzała śniadanie gościom) i gdy pan Łukasz wrócił z pola, zastał już gości na dobre jedzących i na dobre rozmawiających.

— Pan Apoloniusz, pan Eustachy, mój ojciec — prezentował syn.

— Bardzo mi miło, mocium dzieju, niech panowie siadają — rzekł stary głaszcząc duże siwe wąsy — i cóż tam ponowie przywożą nam z miasta. Tylko coś wesołego, bo smutnych nowin mamy tu po uszy.

— Nic wesołego — rzekł ponuro pan Apoloniusz.

— Mój Boże, mój Boże, jaka szkoda, tyle nadziei, na próżno — ciągnął stary składając ręce — tyle pieniędzy, tyle broni, tyle ludzi, na darmo. Wychodzą, wracają i to każdy. Ręczę że panowie już z jakie trzy razy wychodzili i wracali? — spytał się obracając mowę do Apoloniusza.

— Tak, tak, źle — bąknął exminister, wymijając zapytanie — a co tego przyczyną? (tu powstał) Oto, dotąd źle będzie, dopóki rząd nowy nie stanie na tradycjach dawnego. — Pan Apoloniusz uważał, że nie mogło być lepiej jak za dawnego rządu, tj. tego, do którego on należał, bo jemu było tam jak najlepiej.

Niemniej dobrze było mu na wsi u pana Łukasza. Obiady doskonałe, wino i miodek wyborny, a okolica śliczna, panny ładne i dobre, i czegóż więcej brakuje do szczęścia gdyby nie to *gdyby*. „I *gdyby* nie te strzały, co mi *w uszach świszczą*, mówi Marji w „Marji“ i pan Apoloniusz mógł powiedzieć z Malczewskim a raczej za Malczewskim:

I gdyby nie pan Łukasz, który wciąż narzeka,
Że młodzież się popsuła i z placu ucieka,
I gdyby nie ekonom, co ciekawie bada
Czemu on na wsi siedzi a na koń nie siada,
Tak by mu było błogo i tak nic nie trzeba!

Od czasu do czasu, odosabniał się od towarzystwa i pisywał listy, które zwykle sam odwoził na pocztę. Jeden z takich listów pozwolimy sobie przeczytać, był to list do panny Sempronji. Pisał w nim o nudach jakich tu doznaje na wsi, o pragnieniu czynu, ruchu. „Smutny mój los, pisał dalej, wytrącony z kolei wypadków, palę się jak błędny ognik nad bagnem bezużytecznie. Ale znowu iść, rzucać się na oślep, by z śmiercią moją zwyciężyła idea, którą nienawidzę i przeklinam, to niepodobna“. W końcu pytał się o nowiny miastowe, ubolewał, że poczciwi mieszczanie bez niego muszą głowę tracić. Szczęściem panna Sempronja mało miała styczności z mieszczanami, bo by niekoniecznie miłe i grzeczne pozdrowienie musiała przesłać panu Apoloniuszowi od jego ulubieńców i klientów.

Pan Apoloniusz nie przeczuwał tego, ale owszem przychodził do coraz większego szacunku siebie samego, odsunięty od wpływu na wypadki przekonany był, że dlatego tak źle się dzieje, bo jego nie ma. Spowiadał się z tych niepokojów przed swym towarzyszem, który na wsi powrócił do dawnych obszernych rozmiarów. Zarozumiałość pana Apoloniusza rosła w olbrzymie rozmiary, aż przerosła w śmieszność. Każde ciasto, które nad formę wyleci, potworne nabiera kształty i udać się nie może. Wiedzą o tem dobrze gospodynie i ja wiem trochę, jestto jedno z wspomnień młodości, gdy z zajęciem patrzałem na wielkanocne przygotowania. Pan Apoloniusz nie znał tych odwiecznych praw kulinarji, a jeżeli znał, nie chciał z nich zrobić do siebie zastosowania, jak to zobaczymy. (Dok. nast.)

O BUDOWIE
LUDZKIEGO ORGANIZMU I JEGO ŻYCIU

przez

Dr. Gustawa Polińskiego.

(Ciąg dalszy.)

Zastanowię się obecnie chwilkę nad znaczeniem systemu nerwowego w cielesnym ustroju. Jest on kierownikiem, jest regulatorem wszelakich działań. Niedosyć że wpływa na mięśnie, na serce, płuca, na żołądek, ale także oplata żyły i arterje, masą drobnych nitek, zwęża je lub rozszerza, i tym sposobem reguluje przypływ i odpływ krwi. System nerwowy kieruje wyrabianiem się ciepłoty ciała, w jego ośrodkach wyrabia się elektryczność pobudzająca działalność pojedyńczych cząstek nerwowych, a że ta elektryczność jest, najlepszym dowodem doświadczenia fizjologiczne wykazujące, iż w kawałku wyciętego nerwu ona istnieje, i zamienia miękkie żelazo na magnes.

Nerwy wpływają na wydzielanie śliny, za ich to sprawą mowa nasza w tysiączne modeluje się dźwięki — im zawdzięczamy iż czujemy ciepło, zimno, że żadne zjawisko nie uchodzi naszej uwagi — bez nich nie mielibyśmy pojęcia o tym co nas otacza, nie mielibyśmy przeświadczenia o naszem istnieniu. Są przeto rzeczą nadzwyczaj wielkiego znaczenia. Przyroda dobroczynnie zabezpieczyła tak ważne aparata, jak mózg i rdzeń kręgowy, od szkodliwych wpływów, otaczając je kostną pokrywą, twardą i mocną. O ile bowiem naruszenie całości mózgu smutne powoduje następstwa świadczą przykłady, że upadnięcie na głowę może zrobić dziecko niezdolnem do nauki, cytują wypadek, iż pewien bibljotekarz, uderzony w głowę spadającą księgą, zapomniał zupełnie języka greckiego i łacińskiego.

Cierpienia mózgu wywołują pomięszanie zmysłów, a skoro są ostre i gwałtowne, powodują śmierć w krótkim czasie. Pęknięcie żyłki drobnej w mózgu, tak zwana apopleksja, sprowadza paraliże. Zniszczenie, np. przez *zgniecenie* nerwów ręki, czyni takową bezwładną, uderzenie w skroń sprowadza ślepotę — cios w krzyż zadany, fatalne sprowadza następstwa. Słowem systemat nerwowy jako organ myśli, czucia i ruchu — zajmuje jedno z najważniejszych stanowisk w dziedzinie spraw życia.

Skreśliwszy pokrótce w pobieżnych rysach organiczną budowę człowieka, przechodzimy obecnie do drugiej części naszego tematu, do oznaczenia czem jest życie — gdzie tkwi jego istota, na jakich odbywa się ono warunkach i prawach, jakie siły niem kierują i utrzymują. — Sprawy życia organicznego nie różnią się niczem od życia całego wszechświata — przepatrując uważnie ów bieg kolejowych zjawisk, jakie praca ciałoskładu przedstawia, widzimy, że te zjawiska są mechanicznej natury, że w człowieku jakby w maszynce jakiej, odbywa się ciągły ruch, ciągła praca, i że owa nieustająca czynność, jest genezą cielesnego bytu. Życie pojmowano i pojmują najrozmaiciej, przytoczę tu jako dowód przykłady. W księdze Genesis Mojżeszowej czytamy słowa następne. „I rzekł Bóg: niechaj zrodzi ziemia duszę żywiącą w rodzaju swoim; bydło, gadziny i zwierzęta ziemskie, każde wedle osób swych... I rzekł Bóg: oto dam wam wszelkie ziele... aby były wam ku pokarmowi i wszystkim zwierzętom ziemskim, i wszystkim ptakom powietrznym i wszemu co jedno się rusza na ziemi i w których jest dusza żywiąca, aby mieli co ku jedzeniu... Uformował tedy Pan Bóg człowieka z mułu ziemie i wetchnął w oblicze jego duch żywota, i uczyniony jest człowiek w duszę żywiącą“ Mojżesz więc uznawał dla wszystkich zwierząt osobny pierwiastek duszy oddzielny od ciała albowiem mówi: „I wszelkiemu zwierzowi ziemskiemu i wszystkiemu ptactwu niebieskiemu i wszelkiej rzeczy ruchającej się na ziemi, w której jest dusza żywiąca.“ (Gen I — 30).

Stary Testament w przedmiocie życia i duszy przedstawia nam czysto materjalistyczne zapatrywania. W całej niemal Azji uważano w owych czasach duszę za jakiś dech żywotny, gaz, płyn lub płomień. W Starym Testamencie nigdzie nie ma mowy o istnieniu duszy zewnątrz ciała. Boć w przytoczonej wyżej księdze Genezis czytamy wyraźnie:

„4. Wszakże mięso z *duszą* jego — która jest *krew* jego, jeść nie będziecie.“

„5. A zaiste krwi waszej — dusz waszych szukać będą i t. d.“ (Genezis IX)

W 18, 19, 20, 21 i 22 paragrafie Ecclesiastes znajdujemy:

„18. Nadto rzekłem w sercu swem o sprawie synów ludzkich, że im Bóg okazał, aby wiedzieli, że są podobni bydłu.“

„19. Bo przypadek (los) synów ludzkich i przypadek bydła, jest przypadek jednaki. Jako umiera ono tak umiera i ten *i ducha jednakiego wszyscy mają*, a nie zna człowiek nic więcej nad bydlę, bo wszystko jest marność.“

„20. Wszystko to idzie na jedno miejsce; a wszystko jest z prochu, i wszystko się zaś w proch obraca.“

„21. A któż wie, że duch synów ludzkich wstępuje w górę? a duch bydlęcy że wstępuje pod ziemię?“

„22. Przetoż obaczyłem, że człowiekowi nie masz nic lepszego, jedno weselić się z pracy swej, gdyż to jest dział jego; albowiem któż go do tego przywiedzie, aby poznał to, co ma być po nim?“

Indjanie duszę ludzką (albo życie) uważali jako cząstkę samego Boga stworzyciela, jako część całości. Po śmierci duch ludzki po swojem oczyszczeniu, wracał do stwórcy. Imię i formy ciała nikły na zawsze. Nieśmiertelność poczynała się od chwili rozłączenia się ducha z ciałem, i wtedy poczynały się różne metampsychozy duszy stosownie do jej zasług. Sławny prawodawca indyjski *Budha*, różnił się w pojęciach od religii Bramińskiej. Według niego ostatecznym celem jest spoczynek — nicość — *Nirwana*, do której po śmierci wracamy. U Egipcjan, zachowanie ciała, konserwowanie go było koniecznem dla szczęścia duszy. Ztąd mummifikacja ciał, wznoszenie piramid i grobów dla przechowywania mumji, aby gdy w danej chwili Bóg Ozyris rozkaże za karę zstąpić ciałom na ziemię, każdy mógł znaleźć swą powłokę. Składali dla tego u grobów *odzież*, broń, jadło, et. caetera. Jeszcze większą cześć dla umarłych nakazuje Konfucjusz, każe on do nich modlić się, błagać o radę, składać u ich grobów nietylko odzież i jadła, lecz i pieniądze.

Grecy łączyli społem pojęcia materji, ruchu i ducha. Thales widząc w bursztynie i magnesie siłę przyciągania, przyznawał tym ciałom siłą żywotną. Anaximenes uważał powietrze za siłę przyciągającą ciała. Heraklides z Efesu łączył pojęcia duszy, życia i ognia. Demokrytes duszę i siłę żywotną uważał za jedno. Arystoteles uważał, że forma ciał, jest obrazem duszy (*anima est forma corporis*).

Od niego zaczyna się szkoła filozoficzna tak zwanych animistów, którą rozwijali następnie Van-Helmout, Paracels, Stahl, Harveg i wielu innych.

Drugi perjod cechuje się pojęciem siły żywotnej, jako materji nieważkiej, wywołującej wszystkie życiowe zjawiska w ciałach organicznych. Oddzielenie się tej materji od ciała miało powodować śmierć. Była to szkoła witalistów, wyobrazicielem jej był słynny lekarz angielski

Hunter, jej przekonaniom hołdował znany w świecie całym matematyk Newton, Haller, Hoffman, Glisson, Bichât, Cuvier, Johannes Müller i wielu innych, pojmowali siłę żywotną jako materję subtelną, rozlaną bądź w całym organizmie, bądź w nerwach zwierząt. Postępy wiedzy od lat kilkunastu olbrzymim kraczące pochodem, oddziałały na zmianę pojęć o sile żywotnej. Virchov, Gavarret, Haeckel, Helmholtz, Vogt, Molechott zgadzają się na to, że siła żywotna jest nierozdzielną od materji, że to życie jest *przymiotem* materji organicznej, *skutkiem* jej ukształtowania (organizacji), że nie masz w przyrodzie innych sił prócz fizyczno-chemicznych. Claude Bernard, jeden z najznakomitszych fizjologów francuskich, a za nim inni sądzą, iż oprócz sił fizyczno-chemicznych, istnieje siła kształtująca, organizacyjna. (*Szyszło, Przegląd Dziejów przyrody*). Nie możemy się wdawać w krytyczny rozbiór wyżej przytoczonych poglądów, ale rozpatrzywszy raz jeszcze organizm, wypowiemy nasze zdanie.

Jak już powiedziałem wyżej, wynalazek mikroskopu pozwolił rozpoznać najdrobniejsze elementa organicznej budowy. Gdybyśmy ostrzem brzytwy skrajali cieniutką warstwę skory z naszego palca i włożyli ten skrawek pod szkło drobnowidza, to byśmy zobaczyli wielką ilość płaskich sześciennych tworów niby oczka siatki się przedstawiających. Każde z tych pojedynczych ciałek posiada w środku maleńkie kołeczko. Otóż takie ciałka my nazywami komórkami, a owe kółko w środku się znajdujące jądrem. Ukłuwszy szpilką palec i pocisnąwszy, otrzymamy kroplę krwi. Weźmy jej troszkę na szkiełko, dodajmy wody i patrzmy przez mikroskop kilkaset razy powiększający.

Widzimy ogromną ilość drobniutkich kółeczek albo krążków — jedne z nich żółtawe i mniejsze, drugie białe i większe. Są to tak zwane czerwone i białe krążki krwi.

Niektóre z tych ciałek (białe ciałka) zwężają się i rozszerzają, jednem słowem posiadają ruch pewien, życie własne.

Wziąwszy kawałek mięsa, jakie używamy na pieczyste, już gołem okiem widzimy pojedyncze włókna jakby drątewki. Położywszy maleńką cząstkę tego mięsa, przez szkło silnie powiększające dostrzeżemy wielką liczbę cienkich włókien. Te włókienka posiadają prążki poprzeczne, są jakby pokreskowane. Jeżeli zrobimy odpowiedni preparat, możemy dostrzedz, że do takich włókienek wnika cieniutka nitka nerwowa i rozkrzewia się w tem włóknie na dwie strony. Dochodzi tam także maleńka arterja i żyła doprowadzając krew do żywienia tych włókien potrzebną. Gdybyśmy wzięli skrawek z nerki np. cielęcia, zobaczymy, iż cały ten organ składa się z żyłek pozwijanych w kłębki i przebiegających w różnych kierunkach, że tam są takie cieniutkie kanaliki poskręcane w rozmaity sposób, a następnie w prostą szerszą rurkę zamieniające się.

Skoro wytniemy kawałek nerwu żabie, widzimy iż ten biały sznureczek składa się z długich cienkich nitek a raczej rureczek wypełnianych przeźroczystym płynem. W środku tych rurek jest jakiś pasek ciemniejszy, nazwany włókienkiem osiowem, że jako oś przez środek rurki nerwowej przechodzi.

Weźmy teraz kawałek kartofli, dodajmy do niego trochę jodu.

Jod ów zabarwi mączkę w kartofli się znajdującą na niebiesko. Patrząc przez mikroskop, zobaczymy że i w tej kartofli są także takie drobne komórki jak w ciele ludzkiem, że tam podobna przedstawia się siateczka jak w kawałeczku skóry. Weźmy skrawek cebuli, tam także komórki znajdziemy. Gdybyśmy wzięli odrobinę jakiegoś ciała mineralnego np. ałunu, lub koperwasu, tam także dopatrzymy kryształków, budową do komórek zbliżonych.

Ztąd wypada, że jak ów koperwas składa się z kryształków drobnych, całość jego składających, jak roślina składa się z komórek właściwych, tak i zwierzę, i człowiek, z takich pojedynczych tworów zwanych komórkami jest uformowany.

Komórka, jestto pęcherzyk, wypełniony materją białkowatą zwaną protoplanną, nawet według najnowszych poglądów cząsteczka tej materji pęcherzykiem nie otoczona. W jej środku znajduje się okrągłe jakby ziarnko zwane jądrem, a w tem jądrze drugie mniejsze się mieści zwane jąderkiem. Komórka taka posiada siłę żywotną, ona rośnie, rozwija się, z niej drugie komórki powstawać mogą — za pomocą tak zwanego podziału.

Niektóre komórki posiadają ruch właściwy, mają one na brzegach włoski poruszające się szybko, migające, ztąd je komórkami migawkowemi nazwano. Wyciąwszy np. kawałek podniebienia żabie, i położywszy na nim odrobinę mięsa — lub ziarnko gorczycy, to ziarnko posuwać się będzie zwolna coraz dalej i dalej. Cóż to znaczy? oto, że podniebienie żaby wysłane jest komórkami posiadającemi ruch i ten ruch, ta siła zdolna jest przesuwać z miejsca na miejsce drobne przedmioty. Ruch taki trwa nawet kilkanaście, a często kilkadziesiąt godzin po śmierci. Komórki łącząc się z sobą formują tak zwane tkanki.

Jedne z tych tkanek są uformowane z samych tylko komórek, drugie zaś posiadają włókienka otaczające i splatające pojedyncze elementa, włókna te zwią się tkanką łączną. Każdy organ naszego ciała, mózg, nerwy, płuca, serce, żołądek, wątroba, kości, chrząstki, zęby, włosy i t. d. są ze tkanek odpowiednich złożone. Kości z twardej tkanki kostnej, nerwy z nerwowych rurek i nitek, płuca z drobnych pęcherzyków, serce z włókien mięsnych i t. p.

Ciało więc ludzkie jest zbiorem nieprzeliczonej liczby niejako żyjątek. W krwi ciągle odnawianej i dostarczanej, w płynach soków organicznych te żyjątka znajdują warunki swego istnienia, swego życia. Pracują one na utrzymanie samych siebie, złączone w systematy i organa składają całość cielesną, której wszystkie cząstki ściśle złączone z sobą, zależne od siebie — i oddziaływające nawzajem.

Życie więc organizmu, jest niejako summą życia składających go części. Organizm pomimo tego iż rozpada się na tak wielką liczbę składników swoich, stanowi całość, stanowi jakby misterną maszynkę, pracującą na swój byt, na swe istnienie, na siebie samą.

Jest on doskonalszym od tego wszystkiego co ręka ludzka zdziałała. Ani bowiem lokomotywa, ani młocarnia, ani żniwiarka, lub zegarek same nie naprawią tego co się zepsuje. Trzeba biegłego mechanika, coby dojrzawszy szkodę uczynioną, wprawił nowy ząb lub trybek, kółko nowe osadził, panewkę przypasował. Tymczasem człowiek kaleczy rękę, i rana się zabliźnia, łamie kość, kość się zrasta, spożywa kawałek chleba, i ten chleb przetrawiony, przerobiony zasila krew jego, soki jego, odżywia tkanki ciało składające. W ciele tego człowieka ruch ciągły, praca ciągła. Serce bije i porusza się bezustanku, płuca oddychają, krew krąży — tlen z powietrza krew tę odżywia, łączy się z jej krążkami. Pokarmy spożyte odbywają proces trawienia, przemienione w stan płynny wsiąkają do krwionośnych naczyń, płyną do najdalszych zakątków i najdrobniejsza komórka, najcieńsze włókno, odbiera porcję swoją z ogólnej życiowej spiżarni. Ale żeby życie istniało, żeby ten mechanizm organiczny funkcjonował, potrzebne są pewne warunki.

Tkwią one w samym organizmie, i w świecie otaczającym. Dziecię nowonarodzone jeżeli ma ustroj cielesny wadliwy, jeżeli który z ważnych organów jest nieprawidłowo ukształtowany, żyć nie może, żyć nie będzie. Tak samo maszynka każda, tak fortepian z pękniętą deką, źle naciągniętemi strunami nie wyda melodyjnych dźwięków, lokomotywa z miejsca nie ruszy, zegarek iść i pokazywać godzin nie będzie.

Człowiek, aby żył, musi być zdolnym do życia. Choroba wszelka powodująca śmierć, jest właśnie zepsuciem, zakłóceniem tej równowagi, tej harmonji działania organicznego — groźne powodującem następstwa.

Jeszcze raz powtarzam, że wszystkie funkcje organiczne, to jakby jakaś orkiestra setki tonów i dźwięków w jedną zlewająca harmonję. Organizm braków nie cierpi, stara się je natychmiast zapełniać, organizm zerwania równowagi życiowej nie znosi, usiłuje ją powrócić, pracuje z wysiłkiem w tym celu, a skoro siły jego za słabe, traci energję, niszczeje i ginie szybko lub zwolna. Życie to jak płomień który wiecznie nowym materjałem palnym podsycać potrzeba — wyrazem jego ciągła wymiana pierwiastków, przyswajanie części pożytecznych, wydzielanie zużytych, przeróbka na każdem miejscu, w każdym zakątku.

(Dok. nast.)

AWANTURNICZA WYPRAWA
DO CHIWY

BURNABY'EGO
KAPITANA GWARDJI KRÓLEWSKIEJ.

(Z angielskiego).

(Ciąg dalszy).

IV.

Po za Orskiem zmienia się okolica zupełnie. Równina wprawdzie jest ta sama, ten sam step bezludny pokryty białym obrusem śniegu, ale na nim najbieglejszy badacz, uzbrojony w najdoskonalsze przyrządy optyczne, nie dostrzegłby już najlżejszych śladów cywilizacji. Rozumiem cywilizacji tuziemnej, wpojonej w kości i krew mieszkańców. Bo cywilizacji napływowej, przypiętej, jak kwiatek do kożucha, do życia ludów stepowych i w życiu ich odgrywającej jeszcze mniejszą rolę niż kwiatek przy kożuchu; takiej cywilizacji są ślady, a przedewszystkiem druty telegraficzne ciągnące się wzdłuż drogi, stacje pocztowe i moskiewskie forty. Ale przecież te instytucje nie mają zgoła żadnego związku z życiem Kirgizów; pocztą moskiewską nie jeżdżą, o telegrafie pojęcia nie mają, a przed fortami schylają tylko głowę.

Wszakże dla dopełnienia obrazu, muszę o instytucjach tych pomówić nieco. Gotów bowiem jestem zaręczyć, że naprzykład o pocztach mo-

skiewskich czytelnik nie ma jasnego wyobrażenia. Mniema niewątpliwie, że droga pocztowa jest to bita szosa, stacje to przyzwoite austerje, wóz pocztowy to wygodna na resorach kareta, a całość to instytucja utrzymywana wielkim kosztem na tle uregulowanych stosunków społecznych. W dalszym ciągu swych rozumowań czytelnik gotów przypuścić, że pierwszy impuls do utworzenia poczt moskiewskich dał handel i przemysł, i że następnie wraz z otwarciem każdej linji pocztowej obie te ekonomiczne instytucje rozwijają się w przeciętych przez nią okolicach. Ztąd doszedłszy wreszcie do wniosku, że i po za Orskiem tętnić musi życie ekonomiczne, kiedy istnieje linja pocztowa, a na niej pocztowe stacje.

Tymczasem od *a* do *z* całe to rozumowanie z uwieńczającym je wnioskiem byłoby fałszywe, z tego zresztą nader prostego powodu, że cała geneza poczt moskiewskich i następny ich rozwój nie mają nic wspólnego z pocztami europejskiemi. Przedewszystkiem zwrócić uwagę należy na tę okoliczność, że przy otwieraniu linji pocztowej w Rosji. handel i przemysł nie mają żadnego głosu. Nie dla nich się linja otwiera, ale dla celów administracyjnych i wojskowych; rzeczą tedy jest handlu i przemysłu naginąć się odpowiednio i postarać się o to, aby jego drogi spływały w jedno łożysko z administracyjnemi drogami. W większości wypadków tak się właśnie i stało, ale są okolice, gdzie drogi handlowe rozbiegają się zupełnie z pocztowemi. Bo też zresztą o konniwencję z niemi, nie mają czego tak bardzo się ubiegać. Moskiewska droga pocztowa nie jest bowiem niczem więcej, jak zwykłą drogą, albo lepiej zwykłem bezdrożem. Popatrzmy jak się formuje. Skoro rząd postanowi, że dane dwa punkta strategiczne czy też administracyjne mają być połączone ze sobą linją pocztową; natenczas na przestrzeni oddzielającej te dwa punkta wycina pas ziemi, co najmniej cztery razy szerszy od najszerszych naszych traktów, po obu jego bokach nakazuje okolicznym włościanom wykopać rowy, w pewnych mniej więcej 25 kilometrów odstępach buduje stacje i drogę w ten sposób surowy i archaiczny przygotowaną, oddaje do użytku publicznego.

Jeżeli tedy droga prowadzi przez pola piaszczyste, to latem grzęzną konie po kolana w piasku; jeżeli przez łąki i moczary, to koła zapadają w błocie; jeżeli przecina rzeki, to przez małe trzeba przejeżdżać w bród, a przez większe na promach. W zimie zaś trzeba sobie samemu torować drogę po śnieżnych zaspach lub łamać kości w wybojach. Stacje pocztowe są to niewielkie domki, najczęściej drewniane, z austerją nic wspólnego nie mające. Nie ma w nich ani gościnnych pokojow, ani zgoła żadnej rzeczy, dla uczynienia zadość potrzebom podróżnych. Mieszka w nich naczelnik stacji czyli urzędnik pocztowy, najczęściej wysłużony feldwebel, który obowiązany jest za ryczałtowem wynagrodzeniem, otrzymywanem od rządu, posiadać pewną liczbę koni na stajni. Na rzecz zaś rządu pobiera on od każdego z podróżnych, po kilka kopijek od konia i od wiorsty. Stacja składa się z dwóch, trzech, najwyżej czterech izb; w jednej znajduje się biuro, w którem naczelnik przegląda papiery podróżnych, i w którem podróżni mają prawo ogrzać się, zanim im konie zaprzęgną; w pozostałych zaś mieszka rodzina naczelnika. Do całości opisu dodać jeszcze potrzeba, że nie każdy ma prawo jechać pocztowemi końmi. Aby uzyskać ten przywilej, trzeba w gubernjalnem mieście udać się do policji, od niej uzyskać pozwolenie na podróż i kupić dokument zwany *podorożną*, na którym każdy naczelnik stacji zanotowuje, żeś przejechał i poświadcza, że otrzymał od ciebie należną zapłatę za konie. Jeżeli podróżny nie ma swego powozu, natenczas dają mu za osobną zapłatą na każdej stacji wóz najprostszej w świecie budowy bez resorów, nader charakterystycznej konstrukcji, bo mający oś przednią znacznie wyżej osadzoną niż tylną, i zwany po moskiewsku *kibitką*.

Teraz czytelnik ma jasne pojęcie o instytucji poczt moskiewskich. Nie zdziwi się tedy zapewne, gdy się dowie np., że na jednej ze stacji, zaskoczony zamiecią śnieżną, musiał Burnaby spać na wiązce słomy w owej izbie, która się biurem nazywa; że obok niego leżał jakiś kozak, który jechał z raportem, dalej jakiś oficer z żoną i z siostrą żony i wreszcie dwóch kupców, prowadzących handel ze Wschodem. Wszystko to leżało pokotem na ziemi, opłaciwszy się wprzódy dobrze za wypożyczoną słomę, w izbie niewielkiej, o nizkim suficie, pełnej najrozmaitszego robactwa. Nie zdziwi się może i temu także czytelnik, gdy się znów dowie, że na którejś innej stacji Burnaby'ego nie wpuszczono do izby biurowej, albowiem na godzinę przed nim przybył jakiś pułkownik, który oświadczył, że pragnie się ogrzać i zabronił wpuszczać kogokolwiekbądź do izby. Burnaby musiał tedy wejść do sypialni naczelnika, ale znalazł także w niej brudy i uderzył go tam taki fetor, że wolał wrócić do sieni i czekając zanim mu konie zaprzęgną, ogrzewać się w sposób naturalny, praktykowany w zimie przez dorożkarzy.

Taką zatem instytucję poczt zaprowadziła Moskwa na stepach kirgizkich i taką właśnie zaprowadziła we wszystkich zawojowanych przez nią krajach, o tyle naturalnie, o ile to odpowiada jej widokom administracyjnym. W danym razie linja pocztowa łączy Orenburg z morzem Aralskiem i z Taszkientem. Wzdłuż niej biegnie linja telegraficzna, a co kilka lub kilkanaście mil znajduje się mała twierdza, której załoga obowiązana jest w respekcie utrzymywać koczujące plemiona Kirgizów.

Do Orska — jadąc z Orenburga — okolica jest jeszcze jak na tameczne stosunki dość gęsto zaludniona przez napływową moskiewską ludność i przez osady uralskich kozaków. Co kilka mil spotyka się małe wioszczyny z czterech, pięciu, nieraz do dziesięciu chałup złożone, a zamieszkałe przeważnie przez ludność mężką, przez zesłanych zbrodniarzy i przez tak zwanych *brodiagów*, to jest przez włóczęgów nie przynależnych do żadnej gminy, nie pamiętających gdzie się urodzili i jak się nazywają.

Brodiaga, jestto rodzimy kwiat cywilizacji moskiewskiej. Może on wprawdzie pojawiać się i w innych krajach, wyrastać i na innej glebie, ale nigdzie dotąd nie doszedł do takiego znaczenia i nie rozplenił się tak licznie jak w Rosji. Tam utworzył przecież odrębną warstwę ludzi, odrębne, że tak powiem, rzemiosło. *Brodiaga*, jest to człowiek słusznego wzrostu, barczysty, z olbrzymim ryżym zarostem sięgającym mu po brodę, z ogromnemi kudłami, których nigdy grzebień nie sprofanował, z wąskiemi oczami, osadzonemi głęboko w oczodołach, z nerwami grubemi jak postronki, z rękami jak maczugi, z nogami jak stopy słoniowe, wreszcie z fizjognomją tchnącą na milę do koła zbójectwem. Tyle pod względem fizycznym; pod względem zaś psychicznym jestto skończony łotr. W Rosji kara śmierć istnieje tylko za zbrodnie polityczne; za zbrodnie zaś pospolite najwyższym stopniem kary jest dożywotnie wygnanie na Syberję. Ponieważ zaś z Syberji uciec jest bądź co bądź łatwiej niż z tamtego świata, więc taki zbrodniarz, morderca, rozbójnik, ojcobójca, etc., po kilku latach pobytu na Syberji, obeznawszy się z miejscowością i zawiązawszy stosunki, pewnego pięknego poranku zmyka, zjawia się znowu w Rosji i rozpoczyna dawne swe rzemiosło. Wkrótce go łowią, zakuwają w kajdany i stawiają przed sądem. Dajmy na to, że on nie zdołał jeszcze po ucieczce z Syberji popełnić żadnej zbrodni; nie sprzyjały mu okoliczności. Zaaresztowany zaś został dla tego, że nie ma paszportu ze sobą, a w Rosji prawo nakazuje, aby każdy, wydalając się z miejsca swego pobytu chociażby do sąsiedniego powiatu, miał ze sobą wewnętrzny, krajowy paszport. Zakutego tedy łotra naszego przystawiają do sądu. Jeżeli sąd wykryje, że on uciekł z Syberji, czeka go chłosta, a następnie powrót do miejsca wygnania; jeżeli zaś nie wykryje, w takim razie zaliczony on zostanie do kategorji *brodiagów*, i jako *brodiaga* wysłany do zaludniania kirgizkich stepów. Rosja nazywa to cywilizacyjną swą misją w Azji, a w Europie są tak naiwni idealiści, którzy tę misję tłumaczą sobie po swojemu i prawią o wysokiem posłannictwie caratu.

Ale jakże tu zrobić, żeby sąd tego nie wykrył? Rzecz prosta: udać idjotę i pozostawić policji dociekanie sprawy, a przy znanym jej biurokratyzmie i niedołęztwie ma się na 100 niemal 99 szansy, że poszukiwania jej do żadnego nie doprowadzą rezultatu.

— Kto jesteś? pyta sędzia, indygację prowadząc nad podsądnym.

— *Nie znaju, batiuszka* — nie wiem ojcze, kłaniając się do ziemi odpowiada łotr.

— Jakto nie wiesz? Jakże się nazywasz?

— Nijak, ojcze.

— Jakże ciebie nazywali ojciec i matka?

— Nie miałem ani ojca ani matki.

— A gdzieżeś się urodził?

— Nie wiem, *nie pomniu* (nie pamiętam).

— Gdzieżeś mieszkał?

— Nigdzie, ot tak na świecie, to w lesie, to na polu.

— Gdzieżeś był, zanim ciebie złowiono?

— Nie wiem, zkąd mnie grzesznej duszy wiedzieć jak się to nazywa? Było pole, a przy polu droga, i po tej drodze szedłem i mnie wzięli i wybili i zakuli, a ja nic nie winien ojcze.

Po takiej indagacji, ptaszka zamykają do więzienia, a zdjęty z niego rysopis, słowo w słowo podobny do tego, któryśmy podali powyżej, rozsyłają po całym caracie z zapytaniem, ażali gdzie nie znają podobnego indywidum. W Rosji rysopisowi temu odpowiada najmniej pięć miljonów ludzi. Właściwie tedy ze wszystkich urzędów powinna nadejść odpowiedź twierdząca. Ponieważ jednak żaden urząd nie pragnie do liczby tych łotrów, których ma w swem więzieniu, dołączyć jeszcze jednego, przeto wszystkie odpowiadają przecząco. Natenczas sędzia orzeka, że dany więzień jest *brodiagą*, dosłownie: człowiekiem nie pamiętającym miejsca swego urodzenia, nadaje mu z urzędu imię i nazwisko, pierwsze lepsze, jakie mu ślina na usta przyniesie, i skazuje go na osiedlenie na kargizkich stepach. I ptaszka naszego, zakutego w łańcuchy, pędzą etapami na stepy. Po drodze on ucieka i rozpoczyna się ta sama komedja *da capo al fine*. Pewien wszakże procent

brodiagów, pod wpływem znowu niesprzyjających okoliczności, dochodzi w kajdanach aż do miejsca przeznaczenia, a ponieważ już ztąd ucieczka na piechotę jest absolutnie nie wykonalna, przeto osiedla się stale, buduje sobie szałas, uprawia pole, żeni się na własną rękę z Kirgizką, jeżeli urodzaje dopisują, a jeżeli nie dopisują, to wchodzi z drugim, a nieraz z trzecim i z czwartym brodiagą w spółkę i razem z nimi utrzymuje jedną żonę, która obowiązana jest po kolei pieszczotami małżeńskiemi obdarzać każdego ze swych mężów. Taka instytucja małżeńska, stojąca w zupełnej antytezie do poligamji tureckiej, a nazwana przez kanonicznych prawodawców poliandrją, jest podobno bardzo w guście dam kirgizkich. Czy jest także w guście brodiagów, tego nie wiem; zresztą kto o to pyta, spełnia ona swoje zadanie, ta instytucja, zaludnia stepy, carowi dostarcza poddanych a dla Indji angielskich przygotowuje w przyszłości nader miłych sąsiadów.

Po za Orskiem kończy się kraj brodiagów i ojczyzna poliandrji. Zaczyna się zaś step zupełnie bezludny, urozmaicony jedynie koczującemi stadami Kirgizów i moskiewskiemi stacjami pocztowemi, których mieszkańcy nawet podczas snu nie wyjmują rewolwerów z zapasa. Dopiero w oddaleniu 280 kilometrów od Orska napotyka się pierwszą twierdzę moskiewską, Karabutak. Jestto mała forteczka, zaopatrzona w rowy i palisadę, i uzbrojona w parę dział. Zaatakowana przez oddział wojska jakkiejkolwiek armji europejskiej, forteczka ta nie wytrzymałaby i godziny. Niemniej przecie garstka dzielnych i zdecydowanych na wszystko ludzi może w niej choćby całą wieczność stawić czoło legionom kirgizkim i tatarskim.

Stanąwszy na wale fortecznym Karabutaku dobrze jest pofilozofować nieco na tle, że tak powiemy, planimetrycznem. Tutaj bowiem nabiera się szerokich poglądów o przestrzeni, o których my w Europie i pojęcia nie mamy. Ludzie przyjeżdżający z wielkich miast do małych znajdują zwykle wszystkie odległości małemi. Jakże miniaturowemi wyglądałyby dla mieszkańca Karabutaku wszystkie nasze europejskie odległości! I tak np. odległość ze Lwowa do Krakowa, pomimo nawet kolei żelaznej, jest niemniej przecie przyzwoitą odległością, sprawiającą, że przejazd z pierwszego do drugiego miasta jest już zawsze podróżą a nie wycieczką z wizytą w sąsiedztwo. A kiedy kolei nie było, ileż to osób mieszkających we Lwowie przez całe swe życie Krakowa nie oglądało. Tymczasem z Karabutaku do Orska jest prawie tyle co ze Lwowa do Krakowa; a mimo to oba te punkta są w całem znaczeniu tego słowa sąsiedniemi punktami i każdy mieszkaniec Karabutaku—a mieszkańcami jest załoga moskiewska — musi co najmniej raz na miesiąc odwiedzić Orsk, jeżeli już nie dla czego innego, to choćby po to, aby zakupić wódki, wina, tytoniu, mydła — chociaż go Moskale bardzo mało używają — i rozmaitych innych artykułów do życia niezbędnych.

Takie sąsiedztwo, stojąc na wale fortecznym w Karabutaku, mamy po stronie lewej, północno-zachodniej. Po stronie zaś prawej, południowo-wschodniej, mamy przestrzeń, wobec której odległość z Karabutaku do Orska jest bagatelką. W przestworze oddzielającym np. Karabutak od Taszkientu, mogłaby lekko pomieścić się połowa Europy, i to z większą swobodą, niż zwykle się mieszczą panny w gorsetach; z Karabutaku zaś do twierdzy Piotr-Aleksandrowsk, leżącej na granicy Chiwy, jest ani mniej ani więcej tylko 1400 kilometrów czyli prawie 200 mil. Jakżeby też dla stałych mieszkańców tych okolic, brakłoby powietrza w naszej ciasnej Europie!

W Karabutaku panują już w całej pełni zwyczaje forteczne, a więc przedewszystkiem podejrzliwość na każdym kroku. Każdego podróżnego rewidują, przeglądają jego papiery, spisują protokół, indagują i oficjalnie i nieoficjalnie.

— Pan jedzie do Kaszgaru? — pyta się Burnaby'ego komendant twierdzy po spisaniu już wprzódy oficjalnego z nim protokołu i dowiedziawszy się z niego, że Anglik jedzie do Chiwy.

— Ależ nie, komendancie, jadę do Chiwy.

— No tak, do Chiwy, ale... ale potem do Kaszgaru. Tam jest teraz 30 oficerów angielskich, którzy ćwiczą mieszkańców w rzemiośle wojennem.

— Po cóż miałbym tedy jechać do Kaszgaru; przecież droga do niego z Indji jest i krótsza i wygodniejsza i nadewszystko bezpieczniejsza.

— To nic nie znaczy. Dobrze jest zawsze i drugą drogę poznać. Może się to kiedy na co przydać.

— Ale zapewniam cię komendancie, że o Kaszgarze ani myślę. Zresztą przekonasz się o tem najlepiej, bo wkrótce będę tędy wracał.

Butelka wina wydobyta z sani lepiej przemówiła do umysłu komendanta, niż argumenta i rozumowania, i położyła koniec patrjotycznym indagacjom Moskala.

Z Karabutaku do Irgizu, jest prawie taka sama przestrzeń co do Orska. Droga wije się wzdłuż rzeki Turgaj, pobierającej wody ze stoków Mugadżarskich gór, które biegną równolegle do drogi i oddzielają step Irgijski od piaszczystej pustyni Emby czy też Jemby, wypełniającej całą przestrzeń między Mugadżarskiemi górami a Kaspijskiem morzem. Jeżeli tedy czytelnik ciekaw jest pozycji Irgizu, niech stanie w myśli na wschodnim brzegu północnej części Kaspijskiego morza i zwróci się twarzą ku Chinom. Będzie wtedy miał naprzód przed sobą pustynię Emby; niech myślą przebiegnie po niej przestrzeń taką jaka oddziela Lwów od Wiednia; na krańcu tej przestrzeni dostrzeże frontem zwrócone ku niemu długie pasmo Mugadżarskich gór, za niemi zaś ujrzy obszerny step Irgijski, a w środku niego Irgiz. Oznaczywszy tak dokładnie geograficzną pozycją Irgizu, wypadałoby i o nim samym cokolwiek powiedzieć, ale chcąc to uczynić, musielibyśmy chyba powtórzyć wszystko to co powiedzieliśmy o Karabutaku. Jest to bowiem twierdza, druga z rzędu poczynając od Orska, o tyle tylko różna od Karabutaku, że posiada wyższe wały, głębsze rowy, szersze palisady i większą liczbę dział. Jeżeli Karabutak, zaatakowany przez wojsko regularne, nie wytrzymałby i godziny, to Irgiz trzymałby się może przez półtorej. Ale nie dłużej. (C. d. n.)

Z Wiktora Hugo.

Tak. Postęp jest niewinnym; i zawsze i wszędzie;
I nigdy on krwi ludzkiej przelewać nie będzie.
Choć bezbronny, panuje, a garnąc zdobycze,
Od miecza i topora odwraca oblicze
Bo palcem wiekuistym skreślona mu droga:
Że ziemia jest człowieka, a człowiek jest Boga.
Bo siła nieugięta, nietykalną siłą
Ludu! żadnej krwi! nigdy! Nad ofiar mogiłą
Krew winna, czy niewinna bryzga z rąk na skronie,
I czy to on w siermiędze, w laurach, czy w koronie,
Gdy na pamięć człowieka padnie kroplą małą,
Wnet ją całą okrywa i pożera całą.
Bo nie ma krwawej plamy takiej w dziejach świata,
Któraby brudnem piętnem nie spadła na kata.
Najlepszym grobem — hańba; ta wszystko rozstrzyga.
Ten sam człowiek, którego własna zbrodnia ściga,
Wstaje w trupim całunie wzgardą oszarzanym,
Galera się zamyka za napiętnowanym,
I cała rzecz skończona. I grób się rozpęka,
A choćby był najgłębszy, choćby płatna ręka
Zwaliła nań najcięższe płyty marmurowe,
Zamyślone widziadło cicho wznosi głowę,
Czołem uchyla kamień i wstaje z pościeli.
Dźwignijcie na tym grobie mury cytadeli,
Całą górę granitu — nic to nie pomaga;
Upior wstaje, silniejszy niż granitu waga,
I podnosi tę górę jak listek zeschnięty.
Oto jest! już wychodzi! musi wyjść!... Przeklęty,
Idzie, wlokąc za sobą swój całun sromotny,
Idzie, staje przed tobą gdy dumasz samotny,
I woła: oto jestem! i zgrzyta i płacze,
Sny ci mąci i w nocy do twych drzwi kołacze.
Och! mordercy! bez prawa, czy też prawem hardzi,
Nienawidzę ich! ale żałuję tembardziej.
Bo za nikczemną rozkosz jednej nędznej chwili,
W której się od rywali — wrogów uwolnili,
Widać ich, jak w historji, królestwie prawd czystych,
Chronią się w cień głęboki, wśród widm wiekuistych.

M. Rodoć.

DZIECI HELENY.

POWIEŚĆ.

Przekład z angielskiego.

(Ciąg dalszy).

— Nie lubię wcale historji o Goljacie — rzekł Edwardek.

— Chciałbym żebyś mi powiedział o Ferusie, wujciu.

— O kim?

— O Ferusie, cóż to, nie wiesz?

— Nigdym o nim nie słyszał, Edziu.

— Co-o-o? Chyba ty nigdy taty nie miałeś?

— Miałem; ale mi nigdy o żadnym Ferusie nie rozpowiadał. Cóż to był za człowiek?

— No, to był sobie człowiek co się nazywał Ferus-Offerus. I służył on zawsze u samych króli i bił się za nich, ale gdy tylko jaki król bał się kogo, to zaraz już u niego nie chciał służyć. Aż mu naraz nie stało królów, coby się nikogo nie bali, i nie miał już bić się za kogo. A ludzie mu mówili, że Pan Bóg największy z króli, i że się nie boi nikogo ani niczego. A gdy się pytał gdzie droga do niego, to mu powiedzieli że Bozia w niebie, wysoko, i tylko anieli widzieć go mogą, ale że woli gdy ludzie pracują dla Niego niż gdy się za niego biją. Więc Ferus pytał się ludzi, jak Bozia chce żeby dla niego pracować, a oni mu powiedzieli, że niedaleko ztamtąd płynie wielka rzeka, na której nie ma łódki ani promu, bo woda bardzo bystra, więc gdyby sobie stanął u brodu i ludzi przez wodę przenosił, pewnie by się to Bozi podobało. I Ferus urznął sobie grubą laskę i mieszkał nad rzeką, i wszystkich przenosił.

— Raz siedział sobie w swojej chałupce, palił fajkę i czytał gazety, a na dworze deszcz padał i grad, i grzmiało i szumiało i błyskało, on się cieszył, że właśnie nie trzeba było nikogo przeprawiać, aż tu naraz słyszy, że go ktoś woła:

„Ferusie“. Wyjrzał przez okna, ale nie zobaczył nikogo, i znowu siadł sobie pod piecem. Ale go zaraz ktoś znowu zawołał: „Ferusie!“ i gdy teraz drzwi otworzył, zobaczył maluśkiego chłopczyka, ot, tyciego jak Charley. I Ferus zawołał: „Hola, mój panie! a twoja mama wie żeś na dworze?!“ A mały chłopczyk powiedział: Chcę się przeprawić przez rzekę! No, no — rzekł Ferus, ot to mi tęgi do takiej podróży samopas. Ale co mi tam do tego; chodź na barana! Więc mały chłopczyk wskoczył Ferusowi na plecy, i Ferus wlazł z nim w wodę. — O, jak mamę kocham, toż mu musiało być zimno! — A mały chłopczyk stawał się coraz cięższy za każdym krokiem, tak że się Ferus parę razy mało co nie wywrócił i obaj mało się nie potopili. A gdy stanęli na brzegu, Ferus się odezwał: Mały człowieku, ty jesteś najcięższym z ludzi, jakich w życiu mojem nosiłem, obejrzał się za siebie, aż tu za nim już nie chłopczyk stoi, tylko sam Chrystus Pan. I Chrystus mu powiedział: Ferusie słyszałem, że chcesz pracować dla mnie; więc postanowiłem cię odwidzić, ale tak żebyś mnie nie poznał od razu. Odtąd będziesz miał nowe imię: będziesz się nazywał Chrystoferus, tj. który nosi Chrystusa! I tak się stało i odtąd wszyscy go Chrystoferesem nazywali, a gdy umarł mówiono jeszcze święty Chrystoferus, bo świętym nazywają dobrego człowieka po śmierci.

— Przez cały czas tego długiego opowiadania, sam Edwardek miał wyraz świętego w zachwycie, ale nie mogłem dłużej zastanawiać się nad nim, bo Charley, który opowiadanie brata uważał za zbyt mało podniecającej treści, aby było godne jego uwagi, wyrwał się tymczasem do ogrodu, i już leciał do mnie z przeraźliwym piskiem i wrzaskiem, ukąszony przez osę, gdy nacierał na gniazdo tego zjadliwego owadu. Chwyciłem go na ręce, a on łkał żałośnie:

— Chcę żebyś mnie huśtał! Chcę o kotkach!...

Huśtałem go na rękach co siły, pieściłem i utulałem tkliwie, ale on łkał ciągle.

— Chcę o kotkach!...

— Cóż on może przez to rozumieć? — zawołałem.

— Chce żebyś mu zaspiewał „Były, były kotki dwa“ — wyjaśnił Edwardek. — Mama mu zawsze musi to spiewać, gdy sobie tylko co zrobi, to, zaraz płakać przestaje.

— Ja tej piosenki nie umiem, Charleyu, a nie wystarczyło by ci „Płyń Jordanie.“

— Nie; chcę o „kotkach.“

— Ja ci pokażę jak to idzie — rzekł Edwardek, i zaczął śpiewać prym, podczas gdy ja powtarzałem za nim słowa i nutę:

„Były, były kotki dwa,
„Szare—bure obydwa,
„Poleciały do lasu,
„Narobiły hałasu;
„A który? a który?
„Kyć! kyć!“ etc. etc.

Nie mogłem wprawdzie dostrzedz żadnego związku między tą arcywzniosłą poezją, a cierpieniem mego siostrzeńca, ale ledwom skończył, łkania jego ustąpiły miejsca westchnieniu, tak głębokiemu, jakby mu wielki ciężar z serca spadał.

— Charley'u — spytałem — czy kochasz wujcia Harrego?

— Tak, bardzo cię kocham.

— No to powiedz, mi jakim sposobem ta niemądra piosenka pomagać ci może?

— Zaraz mi się robi dobrze i miło.

— A czy nie byłoby wszystko jedno gdybym ci zaśpiewał n. p. „Zanurzon w głębiach czarnej rozpaczy?“

— Nie; nie lubię czarnypaczy. Gdyby mi jaka czarnapaczy co chciała zrobić, tobym ją zaraz udusił.

Na tej nadzwyczaj jasnej uwadze, urwała się nasza rozmowa w tym przedmiocie, ale spędziłem parę chwil w nieprzyjemnej wątpliwości, czy chorba umysłowa, którą cierpiał dziad mój i Helenki, nie stała się dziedzictwem najmłodszego z jego potomków. Przykre moje zamyślenie przerwał Edwardek, odzywając się głosem pełnym przekonania:

— Teraz wujciu Harry, *zapewne* dostaniemy świstawki.

Czyniąc zadość jego życzeniu ruszyliśmy do lasu. Lat już parę jak nie byłem w potrzebie używania drzewa hickorowego*; podobno od czasu wojny, kiedy się przekonałem jak dobry ogień dają dobrze hickorowe gałązki; a na świstawki nie wybierałem drzewa chyba od czasu gdym sam na nich świstał, nieba! już blisko ćwierć wieku temu! Szereg wspomnień wywołany tą uwagą, groził pchnięciem mnie w usposobienie, które byłoby może zrodziło jaką sielankę od siedmiu boleści, gdyby moi siostrzeńcy nie zarzucali mnie ciągle mnóstwem pytań takich, jakie tylko dzieci zadawać mogą. Gdy już świstawki były skończone, odbyliśmy marsz z muzyką aż na miejsce gdzie miały się znajdować, orzechy wodne. Była to właśnie miejscowość, w jakiej się wszyscy chłopcy instynktywo lubują—dolinka niska, wilgotna, zarosła, z bagnem i źródełkiem, zakrytem zupełnie zwieszającemi się trawami i paprociami. Dzieci znały na pamięć roślinę, która wydawała owe orzeszki, i głośny okrzyk radości towarzyszył każdemu nowemu odkryciu. Z początkiem oglądałem się z przerażeniem na bagno, za każdym wrzaskiem co rozdarł powietrze; ale widząc że się nic złego nie dzieje, oswoiłem się z tem powoli, i uwagę zwróciłem na kilka przepysznych paproci obok źródła rosnących. Nagle jednakże kilka głośniejszych po sobie następujących krzyków, oznajmiło mi, że musiało doprawdy zajść coś złego, i obejrzawszy się, ujrzałem po za dużą paprocią małą twarzyczkę napiętnowaną przerażeniem. Z drugiej strony Edwardek spieszył na ratunek brata, i wnet znalazł się tak samo jak Charley po kolana w tłustem, czarnem błocie. Pospieszyłem z pomocą, i stanąwszy na samym brzegu obie ręce wyciągnąłem do nich, gdy naraz— zdradziecka kępka trawy usunęła mi się z pod nóg, i z rozgłośnym pluskiem wpadłem w bagno, do ich towarzystwa. Ten wypadek w śmiech zamienił poczynające już płynąć łzy Charley'a, ja jednak muszę się przyznać, żem w tem nic zabawnego nie widział. Nie jest przyjemnem wpaść choćby w czystą wodę przy połowie pstrągów, a cóż dopiero mówić o zapadnięciu się powyżej kolan w łono matki ziemi? Co prędzej wyciągnąłem dzieci i wyrzuciłem je na brzeg, a potem sam się wygramoliwszy, począłem się otrząsać jak z wody pies nowozelandzki. Wszystko to jednak było bezskuteczne; i owszem doprowadziło jeszcze moje ubranie do stanu jakiego opisywać nie chcę, a strumienie brudnej wody spłynęły mi w buciki. Kapelusz mój najświeższego fasonu, spadł mi z głowy w tej przeprawie, i zabłocony, zgnieciony, wyglądał nie lepiej jak straszydło na ptaki. Patrzyłem na mego młodszego siostrzeńca z niewypowiedzianem oburzeniem.

— Wujciu Harry — odezwał się Edwardek, jak to dobrze Bozia zrobił, że dał ci właśnie być z nami, inaczej byłby się pewno Charley utopił.

— Tak — rzekłem, — i nie bardzo by mnie to....“

— Wujciu Harry — zawołał Charley biegnąc do mnie, czepiając się mojej szyi, i twarz mi głaszcząc czarnemi, mokremi łapkami. —Wujciu, daj niech cię pokocham, za to żeś mnie z wody wyciągnął!

— No, no, dosyć już tego—rzekłem—przyjmuję twoję pieszczoty, ale teraz chodźmy prędko do domu.— Trzeba nam było mijać tylko jeden z dworków przydróżnych, a i ten, dzięki losowi, tak był ukryty krzewami, że mieszkańcy nie mogli widzieć kto przechodził drogą. Byliśmy wprawdzie na jednej z najwięcej uczęszczanych przejażdżek, ale mogliśmy dostać się do domu w przeciągu pięciu minut, a w ostateczności choćby skryć się w gęstwinie, gdyby szczególnym wypadkiem w tej chwili właśnie nadjeżdżała jaka kareta. — Ha! czyż tem słowem wywołałem niebezpieczeństwo? Oto już wprost ku nam zmierzał pojazd jakiś, a my, czyż kiedy wyglądał kto śmieszniej i ohydniej? Wszak to panie jakieś siedzą w pojeździe—mogłażby to być Miss?... bez wątpienia to ona — o, chyba zły duch, co zawsze kieruje sprawkami tych dzieci, wezwał Miss Mayton jednym ze swych podwładnych? Oto siedziała: chłodna, strojna, świeżutka jak zawsze, starając się zachować powagę, ale silnie zarumieniona tem usiłowaniem. Zbytecznem była odwracać się lub myśleć o ucieczce, jej szybkie oko dostrzegło mnie i poznało już z daleka; zwróciłem się więc do niej wprost twarzą, z tym samym co najmniej wyrazem, z jakim przyjmowałem niegdyś, natarcie kawalerji na mój szwadron.

— Wracasz pan widać z bardzo zajmującej wycieczki — przemówiła z powitalnym uśmiechem, w chwili gdy powóz nas mijał. — Pamiętaj pan, że go czekam jutro po południu.

O, cóż za złote serce u tej dziewczyny! Każda inna byłaby bez ceremonji puściła wodze swej wesołości, a ona zaraz w pierwszej chwili postarała się o przywrócenie mi swobody, Kobieta z tak anielskiem sercem zasługuje na ubóstwienie! Nie dokończyłem myśli, czując, że mi policzki płoną pod pokładem błota, jakiem je pokryły rączki Charley'a. — Uskutecznitem odwrót z miną mniej żałośną, niżby to strój mój usprawiedliwiał, i oddałem siostrzeńców moich niańce, tak jakby jenerał-dowódza oddawał znaczny zastęp jeńców wojennych. Pospiesznie zmieniłem moje zbłocone ubranie, na najwykwintniejszy garnitur, jaki posiadałem, nie żebym się miał spodziewać jakich odwidzin, jak raczej dla tego iż nagle zwiąkszył się wielce szacunek jaki miałem dla samego siebie. Kiedy dzieci już spały, a ja zostałem sam ze swemi myślami, spędziłem parę rozkosznych godzin, wyobrażając sobie o ile mogłem niejakie zmiany w mym losie, o których dotąd nigdy pomyśleć nie śmiałem.

W poniedziałek o wschodzie słońca byłem już w ogrodzie. Charley miał dziś zanieść Miss Alicji bukiet jako zadośćuczynienie za swój mimowolny figiel, a ja postanowiłem nie szczędzić trudu, żeby bukiet ten zrobić jak można najpiękniejszym. Najpierw, chcąc się przekonać jakimi materjałami będę mógł rozrządzać, przetrząsałem każdy kląb, każdą rabatę, oglądałem każdą samotnie kwitnącą roślinę, tak jakbym miał piórem

*) *„Hickory,“* biały orzech amerykański. Przyp. tł.

na papierze spisać inwentarz kwiatów; aż wreszcie nauczyłem się niemal na pamięć wszystkiego co ogród zawierał. — Skończywszy to zajęcie, poszedłem spytać się niańki, czy chłopcy mają jakie czyste ubrania; rozłożyła przedemną całą ich garderobę, i po długim namyśle, i troskliwym przeglądzie każdej sztuki, wybrałem dla nich sukienki, a niańce powiedziałem, że dziś szczególnie chcę, żeby ich starannie umyła i ubrała, bo po obiedzie wezmę ich z sobą do pewnej Pani.

— Niech pan będzie łaskaw powiedzieć mi dokładnie, o której pan wyjedzie, a zacznę ich ubierać ledwo na godzinę przedtem; bo tylko w taki sposób można być pewnym, że panu wstydu nie zrobią.

Na śniadanie mieliśmy, między innemi, ostrygi podane w zupie.

— O Charl'u — wykrzyknął na ten widok Edwardek—znowu dziś mamy skorupki z żółwia. Jak to dobrze!!"

— Skorupki znowu z żółwia—cieszył się za nim Charley.

— Patrz, wujciu—wołał Edwardek podnosząc ostrożnie w górę swą miseczkę, i wskazując na znak fabryczny pod spodem.—Tam siedzi żółw, widzisz?"

— Żółw siedzi — potwierdził Charley, — ale nie może łazić jak inne żółwie.

Bojąc się żeby ów żółw nie został oblany zupą, kazałem chłopcom postawić talerze i jeść dalej spokojnie.

Po śniadaniu poświęciłem dużo czasu staraniom koło mojej powierzchowności. Nigdy dotąd moja własna garderoba tak mi się nędzną ani tak źle dobraną nie wydała; nigdy jeszcze nie zaciąłem się tyle razy przy goleniu; nigdy tak złego połysku nie miały moje buciki. Nareszcie, doprowadzony do rozpaczy, dałem za wygranę, i zamiast myśleć o wydawaniu się pięknym, zupełnie się poświęciłem bukietowi. Naciąłem kwiatów tyle, że wystarczyłoby ich do przybrania całego kościoła, a potem odrzucałem nielitościwie każdy, co miał choć cień jakiej niedoskonałości. Przy tem zajęciu cieszyłem się arcymiłem towarzystwem moich siostrzeńców, ich pomocą i radami, a nawet, wolą niewolą, musiałem brać udział w ich rozmowie, która się zaczęła od kwiatów.

— Wujciu Harry — mówił Charley, — czy i w niebie tak pełno ślicznych kwiatków? Bo i z czegoż by się robiły aniołki, jak nie z kwiatków?

— Wujciu Harry — mówił Edwardek,—gdy liście tak lecą na dół, i do góry, i tak się kręcą w kółko, czy one rozmawiają z wiatrem?

— Hm—tak mi się zdaje pieszczochu.

— Wujciu Harry, dla kogo robisz ten bukiet?

— Dla jednej pani — dla Miss Mayton — wiesz, ta pani co nas wczoraj takich zabłoconych spotkała.

— O, ja ją bardzo lubię — mówił dalej Edwardek,—taka śliczna, taka dobra, taka słodka jak ciasteczko! Oh, ja ją strasznie kocham — a ty?

— Ja?—Edwardku—ja? poważam ją wysoce.

— Poważam?—cóż to znaczy?

— Ha, to znaczy, że to jest osoba—rzeczywiście bardzo miła, osoba — to jest — że to jest najmilsza na świecie—osoba, którą by się chciało widzieć co dnia, którą się woli nad wszystkich.

— O, więc poważać a kochać znaczy to samo? prawda, że to samo wujciu Harry.

— Edwardku—zawołałem—skocz do Małgosi i przynieś mi kawałek sznurka, prędko!

— Dobrze — odpowiedział zabierając się do odejścia—ale znaczy to samo, prawda?

(C. d. n.)

DROGI ŻYCIA

POWIEŚĆ SZWEDZKA

przez

CARLINA.

(*Ciąg dalszy.*)

Zapowiedziany gość przybywa.

Już blisko tydzień upłynął od przyjazdu pana Edmunda Rosenkranza i wnuków hrabiny. Stanisław i Marjan (gdyż tak się nazywali wnuczki pani T.) były to miłe i dobre chłopaczki, którzy obok wielu przymiotów, jedną szczególniej przez babkę wysoko cenioną posiadali zaletę, że nie lubili drapać się i spinać po drzewach, strącać owoców, choć dojrzewające jabłka bardzo ponętnie wabiły swojem rumianem obliczem. Zrywali tylko agrest dojrzały, a głównie nosili z całą usłużnością i to krok w krok za babką chustkę do nosa, tabakierkę i okulary. Teraz z kolei wypada nam opisać postać samego nauczyciela: szczególnym trafem wszystkie obawy hrabiny co do młodego człowieka sprawdziły się do joty.

— Czyż widziałaś coś podobnego Lidjo?— mówiła staruszka rozciągając sznur na grządce kapusty, powiedz tylko czy widziałaś ażeby młody człowiek i to nauczyciel, zachowywał się tak bez ceremonji? Zamiast pilnować chłopców, on całymi dniami nic nie robi, leży sobie na kanapie, lub spaceruje. Ten ukochany mąż Justyny wybiera zawsze na nauczycieli takich próżniaków jak sam pan dobrodziej, i jeszcze płaci dobrze za to, że nic nie robią.

— Niech pani zwróci uwagę—wtrąca Lidja, zajęta przebieraniem nasienia—że pan Rosenkranz jest korespondentem aż trzech dzienników, a chcąc dokładnie opisać okolicę, musi ją poznać koniecznie.

— To po cóż tu przyjechał? Ale ty Lidjo, coś bardzo bronisz tego pana korespondenta, a o ile widzę i on dla ciebie bardzo uprzejmy.

— O, bardzo przepraszam — odpowiedziała wesoło Lidja—ośmielona łagodnym tonem mowy hrabiny—ja nie powinnam sobie nikim zaprzątać głowy; przytem już oddawna zauważyłam, że pan Rosenkranz dla wszystkich jest tak samo grzeczny.

— A kiedyż ten niedołęga przyjdzie! (chłopiec ogrodowy). Rozsada musi być dzisiaj zaflancowana... Tak, tak moja Lidjo, to mnie przynajmniej pociesza, że pan magister nie ma usposobienia do romansowania.

— ,... Gdyby mu tylko pozwolono złożyć dowody—daje się słyszeć w tej chwili głos męzki za krzesłem hrabiny—z pewnością zasłużyłby na nagrodę.

Był to właśnie ów nieromansowy jak go nazywała staruszka doktor filozofii, w ciemnem letniem ubraniu, w ogromnym kapeluszu panama, który powracając wcześniej niż zwykle z wycieczki stanął przed zdziwioną hrabiną. Edmund Rosenkranz jestto młody, szczupły, średniego wzrostu mężczyzna, brunet, miłej bardzo powierzchowności, uprzejmy i miły, zgrabny w ruchach, z wyrazem pewnej szlachetności na twarzy i głębokiego poczucia obowiązków.

Chłopcy usłyszawszy głos nauczyciela, upuścili na ziemię chustkę, okólary i tabakierkę i jak dwa swawolne koniki pobiegli czemprędzej do niego.

— Tak to—rzekła smutnie hrabina—jeszcze uczy dzieci nieposłuszeństwa... rzuciły wszystko i zostawiły samą babkę. — Józefie! ten niezdara ani myśli przychodzić, a tu kapusta więdnie.

— A czy ja nie mógłbym dopomódz pani hrabinie. Jeszcze lepiej to zrobię niż ogrodniczek... Uniżony sługa, panno Lidjo. Prześlicznie pani w jasnej sukni.

— Dzisiaj dopiero pierwszy raz ubrałam się popielato, — pani hrabina nie lubi żałoby.

— Wstydź się panie doktorze odzywać w ten sposób do dziecka. Dotąd żaden młody człowiek nie ośmielił się w mej obecności powiedzieć coś podobnego.

— Bo każdy był wilkiem w owczej skórze, ale ja, który nigdy nie będę niebezpiecznym z powodu moich komplementów, mogę otwarcie powiedzieć pannie Lidji to, coby powiedział świat cały, i niktby mu tego nie wziął za złe. Już to moja natura taka, że gdzie tylko napotkam młodość i piękność, adoruję otwarcie, nie okrywając się płaszczykiem pochlebstwa, nienawidzę obłudy!... No, a teraz zaczynajmy robotę, bo i Józef nadchodzi...

— Nie rozumiem pańskiego dowodzenia, — rzecze Lidja—zanadto filozoficzne. Wyciągnijmy prędko sznurek, bo się już ściemnia.

— Proszę mi pozwolić, ciociu, jestem doskonałym ogrodnikiem, bo nie tylko że wyniosłem z domu zamiłowanie do tego zajęcia, ale słuchałem jakiś czas kursów gospodarstwa w Sztokholmie. Przytem pasjami lubię ogród, i w mieście nawet muszę mieć maleńki ogródek przed domem.

— Czy to prawda?—zapytała hrabina, udobruchana trochę miłem obejściem doktora.

— Najprawdziwsza! a na dowód pozwoli ciocia, że urządzę na mój sposób jedną grządkę melonów. Ach, prawda, przypominam sobie jeszcze, że dyrektor obiecał mi przysłać kilka sztuk pięknych drzew owocowych, jeżeli ciocia zechce posadzę je tutaj na pamiątkę mego pobytu.

— Prawdziwym feniksem jesteś kochany Edmundzie, dumna będę z takiego siostrzeńca... Panno Lidjo, możeby pan magister, napił się wody z sokiem.

— Dziękuję bardzo, nie mam w tej chwili pragnienia, ale za to panno Lidjo, musi mi pani tutaj dopomódz i sznur przytrzymać, a jak skończymy prędzej, dopiero będziemy pić wodę bez końca. Okazało się wkrótce, że młody doktor filozofii potrafi być nietylko dobrym korespondentem, ale i doskonałym ogrodnikiem. Robota szła prędko i dobrze, a wszystko uprzyjemniał dowcip Edmunda i wesołość młodej jego towarzyszki.

Hrabina przyglądała się z radością robocie młodych ludzi:

Jaka to miła dziewczyna ta Lidja — myślała sobie, za dziesięć córek mi wystarczy, a ten spadły z nieba doktor filozofii, prawdziwą filozofię życia w sobie posiada... Dobrze, oddam mu pod opiekę sad i ogród—rozumowała dalej staruszka, kładąc bezmyślnie palec do tabakierki, ale co to będzie jak synowa z mężem przyjadą tutaj: Justynka będzie chciała gwałtem odciągnąć Edmunda od Lidji. Edmund tembardziej rozkocha się w tej dziewczynie, a Justyna zacznie trąbić na zwykłą nutę: „Mama zawsze wybiera sobie jakieś kokietki"... Tak, tak, moja lalko, mów co ci się tylko żywnie podoba, będę ślepa i głucha na wszystko.

*

VI.

W drodze do kościoła.

W kilka tygodni po przybyciu gości naszych na wieś, drogą wiodącą do kościoła, szła wysoka czarno ubrana panienka w towarzystwie Edmunda. Było tam i dwóch chłopców, lecz ci biegając po łące zbierali przepyszne bukiety z polnych kwiatów, zostawili samą sobie postępującą parę.

— Zdaje się—rzekł Edmund, spoglądając na piękną twarzyczkę — zdaje się panno Lidjo, że pani ma upodobanie robić sobie przykrości, nosząc żałobę, która się już dawno skończyła, a która nadaje pani taki poważny wyraz. Nie mówię o dzisiejszej toalecie, bo ta już tak jest usposabiającą do smutku, że kto tylko spojrzy na panią, mimowoli poczuje smutek.

— Tak pan myśli — odpowiada Lidja—rzeczywiście smutniejsza jestem więcej niż zwykle, bo dziś jest pierwsza rocznica komunii, a właśnie tę suknię dostałam od moich kochanych ciotek; myślę więc o nich, co one tam same robią w miasteczku.. muszę napisać do nich.

— To pani ma ciotki? A skoro tak, pozwoli pani, że wracając przez miasteczko M... z urlopu, będę miał zaszczyt zawieść szanownym ciociom pozdrowienie i pocałunki od kochanej siostrzeniczki?

— O bardzo im będzie przyjemnie, i przepowiadam panu, że przyjmą pana bardzo uprzejmie. Ciotki moje kocham jak własnych rodziców, od dzieciństwa otaczały mnie one najżyczliwszą opieką.

— Nie znam jeszcze ciotek pani, ale już wielce je szanuję.

— Widać że pan dobrą miałeś matkę, panie Rosenkranz, bo tylko rodzice tak szlachetne uczucia zaszczepić mogą.

— Tak jest rzeczywiście, matka moja była to pobożna, łagodna i pełna dobroci kobieta, a pani swoją wzniosłością charakteru i przymiotami serca, bardzo mi ją przypomina.

— Mylisz się pan, nie jestem ja taką świętością, choć starać się będę całe życie, przejść z czystem i spokojnem sumieniem. Przewiduję, że dużo przyjdzie mi znieść poniżenia i przykrości, ale mam nadzieję, że wytrwam do końca. W siedemnastu latach szukać nowej rodziny i przytułku, opuścić krewnych i przyjaciół, trochę za ciężko, jednak cóż robić?

— Nie wskrzeszajmy dawnych wspomnień panno Lidjo. I ja również bardzo wcześnie opuścić musiałem wszystko co mi było drogiem. Majątek, jaki mi został po rodzicach, sprzedali wierzyciele, i z dwoma tysiącami talarów, jakie ocalały z kolosalnej prawie fortuny, jestem na ukończeniu studjów filozoficznych, przygotowany w każdej chwili stanąć do walki, ażeby zdobyć sobie jaki byt niezależny.

— Ho, ho, to pan jesteś dwa razy bogatszym odemnie—odrzekła z całą naiwnością Lidja, gdyż po śmierci rodziców, zostało mi na czysto tysiąc talarów, które umieszczone korzystnie, bo aż na sześć od sta — tak więc mam 60 talarów rocznie samego procentu.

— Tak dużo, aż 60 talarów? Ależ ten procent nie wystarczy nawet na ubranie, a przynajnajmniej na takie, jakie pani ma w tej chwili na sobie.

— Co też pan mówi? że mało, a ja przeciwnie chciałabym nie ruszać tych pieniędzy, a nawet z pensji odłożyć jeszcze jakie 40 talarów rocznie?

— A ileż pani bierze pensji?

— Najwyższa płaca, jaką daje hrabina, jest podobno 75 talarów.

— I z tego chce pani oszczędzić 40? - mówiąc to Edmund spojrzał niedowierzająco na Lidję.

— Z największą pewnością... Ciotki dają mi na imieniny po 25 talarów, a wyjeżdżając z domu tyle nadostawałam prezentów od familii, że mi to przynajmniej na rok wystarczy.

— Zapewne, że skoro tak, to co innego!— Prawda, a po roku zjawi się jaki bogaty konkurent i pani pójdziesz za niego?

— Za nic w świecie!

— Jakto, pani nie ma zamiaru pójść za mąż?

— Zapewne... Bogatemu odmówiłabym, bo dla mnie ubogiej dziewczyny nie wypada korzystać z cudzego majątku.

— Co też pani mówi!... Ależ pani sama jesteś majątkiem!

— Nie bardzo... Gdyby się taki biedny jak ja starał o mnie, również nie mogłabym go przyjąć, aby nie zwichnąć jego przyszłości. Otóż z tego się pan przekonywa, że tylko nie idąc za mąż, do szczęścia innych przyczynić się mogę.

— Zupełnie tego zdania nie podzielam. Musi być przecież jakiś pośredni stopień między bogatym a biednym i ja nie wątpię, że znajdzie się taki człowiek, który choć nie bardzo bogaty, jednak będzie w możności zapewnienia pani wygodnego i spokojnego utrzymania, gdy tymczasem jego żona swoją pracowitością i zapobiegliwością i czarującym humorem, zastąpi mu największe skarby.

— Są to tylko marzenia — rzecze Lidja — ale ja doświadczywszy już tyle w życiu, wykreśliłam z programu przyszłości myśl o małżeństwie...

— Ale oto już i kościół! żeby tylko hrabina jeszcze nie przyjechała, takeśmy szli powoli...

— Jedynie dla oszczędzenia ubrania pani — odpowiedział wesoło młody doktor — a pomimo to okropnie suknia zapylona, pozwoli pani, że otrzepię?

VII.

Przybycie pani Justyny na wieś.

Gdyby Lidja przewidywała następstwa tej usługi doktora, z pewnością wyrzekłaby się pretensji do elegancji. Ale nie wyprzedzajmy wypadków: zaledwie doktor zdążył schować swoją jedwabną chustką do kieszeni, nadbiegli chłopcy z oznajmieniem, że powóz babki stanął właśnie przed kościołem.

— Bogu dzięki, żeśmy na czas przybyli — mówiła Lidja do doktora, idąc na przywitanie hrabiny — zdaje mi się, że jakoś ma bardzo złą minę.

— A toście szli wolno, droga Lidjo — odzywa się hrabina zobaczywszy Lidję — sądzę, że nie jesteś zmęczona i będziesz mogła wrócić natychmiast. Wyobraź sobie odebrałam list od Justynki, dzisiaj przyjeżdżają, o cały tydzień wcześniej niż przyrzekła, a to miła niespodzianka? Dla tego, moja kochana, wracaj zaraz i każ uporządkować dla nich pokoje... bieliznę brudną trzeba przenieść gdzie indziej.

— Dawno jużbym ją przeniosła do tego pokoju nad wystawą — odpowiedziała łagodnie Lidja — ale nie chciałam się sprzeciwiać pani. Dzisiaj trochę trudno będzie zrobić to tak prędko, a co gorsza, pozostanie pewien nieprzyjemny zapach w całym pokoju.

— Przecież pani sama nie będzie tego robić? — zapytał prędko Edmund.

— Może pan chce jej pomódz? — przerwała śmiejąc się hrabina — ale żart na stronę możesz Lidjo zawołać Kerstin do pomocy.

— Kerstin? ona wiecznie słaba i dzisiaj zapuchnięta, ma okropny ból zębów.

— To niech kucharka to zrobi.

— Jakże babciu, to nie będziem jedli obiadu, a mnie się już teraz jeść chce okropnie! — ośmielił się dodać jeden z chłopców.

— Masz rację kochany Stasiu — odezwał się Edmund — Marjan też pewnie nie jest od tego, żeby obiad był wcześnie; dla tego idźcie do domu z panną Lidją i będziecie jej pomagać.

— Może i sam wnioskodawca pójdzie za przykładem uczniów — dodała hrabina — zwracając się do doktora, który jej pomagał wysiadać z powozu.

— Nie, kochana ciociu! Podobna usłużność z mojej strony nie podobałaby się pannie Lidji.

Lidja nic nie odpowiedziała i spojrzeniem tylko podziękowała doktorowi. Następnie zawoławszy chłopców poszła do domu.

Gdy hrabina z Edmundem wrócili z kościoła, już wszystko było w porządku a obiad gotów.

— Nie domyślasz się, kochana babciu, jaka panna Lidja jest pracowita — mówił Marjan zachwycony zręcznością młodej dziewczyny.

— Jaka mocna i jaka dobra — dorzucił Stanisław.

— Wyście pewno dużo pomogli? — zapytała babka.

— Spieszyliśmy się okropnie, ale nie mogliśmy za nią wydążyć.

— O tem to już ciotkom nie powiem — szepnął Edmund wchodząc na to czerwony jak piwonia do salonu, a zobaczywszy niezwykłą bladość Lidji dodał — przyznam się, że taka praca nad siły o chorobę panią przyprawi... Nie rób pani tego.

—Nic nie szkodzi — odpowiedziała Lidja — jestem silna i młoda, goście nie przyjadą pewnie aż wieczór, więc po obiedzie będę miała czas do odpoczynku.

Lecz po obiedzie nie było nawet mowy o odpoczynku, bo znów znalazło się jakieś pilne zajęcie, i tak do samego wieczora, a prawdopodobnie i nazajutrz.

— Babciu, babciu! już jadą — oznajmił jeden z chłopców wbiegając do pokoju hrabiny— właśnie wtenczas, gdy staruszka układała się do poobiedniej drzemki.

— No, teraz — zawołał wpadając drugi — już po naszych zabawach!... Mama ciągle płacze i narzeka, ojciec z tego się wyśmiewa, i nigdy nie mamy spokoju!

— Cicho bądźcie — odezwała się poważnie hrabina — gdzie Lidja? Poszła pewnie zapłacić za poziomki, które wzięłam wracając z kościoła. Ale już idzie! — Moja droga, idźno i przyjmij gości; panią zaprowadź do przeznaczonego pokoju, pewnie zechce trochę odpocząć, nim przyjdzie do mnie się przywitać; później przyrządzisz tam pod werendą kawę, tylko nie podawaj tych drobnych sucharków ani też ciastek, oniby wszystko naraz zjedli.

— Nie wyjmuj pani także pierników, bo by dla nas nic nie zostało — dodał jeden z chłopców do wychodzącej Lidji. (C. d. n.)

Piśmiennictwo polskie.

(*Powieści historyczne J. I. Kraszewskiego. IV. Masław, powieść z XI wieku*).

Przed półtora rokiem przerwaliśmy sprawozdania o kolosalnej pracy J. I. Kraszewskiego, który powziął świetną myśl przedstawić w cyklu powieści historję narodu naszego, jego geniuszu, instytucyj, rozwoju umysłowego, społecznego i politycznego. Praca ta, którą śledzi z żywem zajęciem każdy, komu narodowa literatura nie jest obojętną, od ostatnich naszych sprawozdań znacznie postąpiła. Oto tytuły powieści z owego cyklu, które z końcem roku 1877 i w r. 1878 ujrzały światło dzienne: *Masław* (2 t.). *Boleszczyce* (2 t.), *Królewscy synowie* (t. 4.) i *Historja prawdziwa o Petrku Właście, palatynie, którego zwano Duninem*. Zbiorek to wcale poczesny, świadczący najwymowniej o kolosalnej pracowitości szanownego jubilata. Kontynujmy nasze sprawozdanie w porządku chronologicznym: *Masław* jest pierwszy, pomówimy więc o *Masławie*.

Może w całej naszej historji nie ma bardziej romantyczno-dramatycznej epoki, jak zaburzenia socjalno-religijne podczas bezkrólewia przed wstąpieniem na tron Kazimierza Oswobodziciela. Burzliwe te czasy wypełnia zacięta walka starosłowiańskiego pierwiastku z nowem urządzeniem na modłę niemiecką, dawnego gminowładztwa z importowanym feodalizmem, pogańskich bożyszcz z krzyżem Chrystusowym, walka ostatnia, bez pardonu, na śmierć i życie. Żeby zrozumieć tę straszną epokę, potrzeba przypomnieć sobie, że w niedawnych jeszcze czasach nieznano w Polsce innej władzy oprócz jednego knezia, że szlachta nie istniała, a kmiecie byli wolni i szanowani, dalej zaś, że religja chrześcijańska mimo wszelkich usiłowań Mieszka i Chrobrego nie zdołała przez niespełna sto lat zapuścić dość silnych korzeni w narodzie, dla którego tradycja była religją a religja tradycją. Dla jednostek tak dogodne stosunki gminowładne zmieniły się wielce: wraz z religją Chrystusową wniesiono do Polski z zachodu pierwiastek feodalny, wolność osobista musiała zostać ograniczoną, spokojny kmieć, pracujący na roli i wzdychający jeszcze zawsze za dawną wiarą i swobodą poszedł w poniewierkę a jego miejsce zajął rycerz, którego topór w owych czasach był dla państwa potrzebniejszy niżeli lemiesz rolnika. Ponieważ jeszcze duch pogański i gminowładny nie był pozbawiony sił, powstał stosunek naprężony między szlachtą reprezentującą wyobrażenia Zachodu i chrześcijaństwo, a gminowładnym za pogaństwem tęskniącym, kmiecym narodem. Walka ta wrzała ciągle od czasów Mieszkowych, dzielni jednak monarchowie zatrudniając naród wojnami z zewnętrznym nieprzyjacielem nie pozwolili jej wybuchnąć. Stan ten jednak zbrojnego spokoju trwał tylko tak długo, dopóki stało książąt pojmujących stanowisko swoje i państwa tak, jak Chrobry, skoro tylko naród wygnał znienawidzoną Niemkę Ryksę z małoletnim Kazimierzem, i poczuł brak silnej dłoni monarszej wnet się rozkiełzały uśpione namiętności i wybuchły w straszny, wszystko niszczący pożar zwany w dziejach buntem Masława. Silne w liczbę i nienawiść pospólstwo wystąpiło z kniej i chat kurnych i rozpoczęło dzieło zniszczenia wszystkiego, co tylko tchnęło nowym obyczajem i religją: mordowano bez litości władyków i księży, niszczono gródki i nieliczne w Polsce targi handlowe, palono świątynie pańskie, wywracano krzyże i posągi świętych a natomiast wznoszono stanice pogańskie. Kraj cały spłynął krwią i spłonął ogniem. Znachory stawili dawnych bogów i gminowładztwo, a lud śpiewał pieśni o słowiańskiej swobodzie—i mordował.

Z ruchu tego skorzystał Mazur Masław, który się mianował bratem przyrodnim wypędzonego z kraju Kazimierza, ogłosił się kneziem i obrońcą gminowładnych urządzeń i dawnej wiary, zgromadził koło siebie lud, uorganizował siłę zbrojną i wezwawszy na pomoc Jaćwierz i Pomorców. rozpoczął budować państwo podług dawnego porządku. Rycerstwo rozbite na małe gromady broniło się jak mogło rozhukanemu ludowi, zdawało się jednak, że już nie długo wytrzyma i że wkrótce Masław na czele ludu przywróci dawną wiarę i obyczaje. W ostatniej trwodze postanowiło rycerstwo wezwać wygnanego przez się Kazimierza, który w jednym z niemieckich klasztorów pędził cichy żywot przygotowując się do stanu duchownego, podczas gdy matka Ryksa budowała kościół w Trewirze. Skoro tylko Kazimierz przyjechał do kraju, wnet się wszystko zmieniło, porozbijane na małe oddziały rycerstwo zgromadziło się koło króla a wsparte oddziałem niemieckich wojowników, których dał w pomoc cesarz, rozprószyło tłumy źle uzbrojone i nie karne pod wodzą Masława. Uzurpator dał głowę i wszystko wróciło do dawnego porządku, potęga kmiecia raz na zawsze została złamana, pogaństwo uległo ostatecznie wierze Chrystusowej.

Oto tło, na którem osnuł Kraszewski *Masława*, albo raczej oto powieść sama. Autor chcąc o ile możności zachować prawdę historyczną nie wiele dodał do obrazu, który podaliśmy w jak najkrótszem streszczeniu. Miłość dwóch braci Doliwów, Mszczuja; Wszebora ku córce bogatego władyki Spytka, Kasi, plącze się wprawdzie przez całe opowiadanie niby nić przewodnia, jest ona jednak za mało interesująca w obec całego opowiadania, za mało rozwiniętą, za nikłą. aby mogła uwiązać do siebie uwagę czytelnika. Historja ta miłośna wydaje się jako *malum necessarium* w powieści, która bez niej zasługiwałaby tylko na nazwę opowiadania historycznego. Główną treścią *Masława* jest obrona garstki rycerstwa na małym gródku przeciw potędze czerni, obrona dzielna, bohaterska, bogata w zajmujące epizody, opisana z prawdziwie epickim talentem. Postacie wyprowadzone przez autora wszystkie odznaczają się wybornym rysunkiem i kolorytem: jakie pyszne postaci tych obu rycerskich Doliwów, starego Beliny, Spytka, lub starego bartnika Sobka, który jak Odysej łączy w sobie w równej mierze odwagę z roztropnością, zimną krew z silną dłonią, męstwo rycerza z instynktem i przebiegłością mieszkańca lasów. A Masław? Zapyta czytelnik... Otóż to słaba strona powieści... Masław, który jak to tytuł wskazuje, powinien być główną postacią, około której inne się grupują, jest najsłabiej narysowany, tak że figura jego zupełnie nie usprawiedliwia tytułu opowiadania.. Masława wprowadza autor tylko mimochodem, szkicuje go tylko, ale nie każe mu brać prawie żadnej akcji w powieści, jestto w powieści figura bierna, którą mógłby bez najmniejszej szkody dla całości zastąpić który z jego podwładnych wojowników. Niejasnym jest także jego stosunek do więzionej przez niego niewiasty, która, jak się domyślać trzeba, ma być matką uzurpatora; zdaje nam się, że bliższe obrobienie tego stosunku nadałoby powieści więcej interesu dramatycznego, do którego miłość Doliwów nie może sobie nawet rościć pretensji. Błąd ten, który zresztą z indywidualnego punktu zapatrywania inaczej się może wydawać, jest jedynym w tej powieści, która jak i poprzednie odznacza się pięknym językiem, zdobnym choć bez przesady w archaizmy, żywym kolorytem i tą głęboką intuicją historyczną, która więcej znaczy niż najgłębsza erudycja. W dalszym ciągu pomówimy o następnej powieści osnutej na znanej historji Bolesława Szczodrego i Św. Stanisława.

B. Cz.

Kronika tygodniowa.

Lwów dnia 13. lutego.

Człowiek o trzydziestu sześciu głowach i o jednej żonie, pojawił się w tym tygodniu na scenie lwowskiego teatru i narobił wiele hałasu wśród sylabizującej afisze po ulicach publiczności... Rzeczywiście fakt niesłychany i niewidziany w Galicji, gdzie zazwyczaj przywykliśmy widzieć na trzydziestu sześciu tułowiach, jedną głowę a swoją drogą, żon trzydzieści i sześć. Ztąd też wszystko co żyło, biegło do teatru zobaczyć tak fenomenalnego człowieka, prawdziwego reprezentanta solidarności narodowej. Zjadłby licho, najzagorzalszy nawet tromtadrata lwowski, jeżeliby potrafił odciągnąć jedną albo dwie głowy, tego pana Franciszka de Blanche z solidarności do secesji. Jestem przekonany, żeby mu się to nie udało, nawet z pozwoleniem małżonki tego pana, będącej głową nad temi trzydziestu sześcioma głowami mężowskiemi, dlatego też pewne stronnictwo u nas, postanowiło sobie odtąd, za godło swej solidarności przyjąć wizerunek tego człowieka, i sprawić odpowiednią pieczątkę, na której będą wyryte jedne wspólne usta, trzydziestu sześciu głów znakomitych mężów. Z drugiej znów strony wiele obywatelek lwowskich, więcej zaciekawione były poznać samą panią... de Blauche, aby się dowiedzieć, jak ona daje sobie radę z myciem tylu głów mężowskich, i to takich poważnych głów Bismarka, Thiersa, Moltkiego, Napoleona III i innych, które on przedstawia, kiedy tutejsze panie z jedną swego męża często nie mogą dojść do porządku... Prawda, że też to i szczególniejsze są okoliczności w tych czasach do suszenia głów ojców i mężów.

Karnawał tak się rozhulał we Lwowie, że już trudno spamiętać daty i nazwy tych balów, wieczorów, wieczorków i redut, na które porządni ludzie chodzić powinni. Znam jednego młodego kawalera, który dzień w dzień wraca do domu o siódmej godzinie rano, i nogi stańczył do tego stopnia, że zrobiły mu się, jak stare obluzowane resory u powozu, a jednak powiada, że to nie koniec.

Nie mówię już o pannach i paniach których powiewne szaty, co wieczór w znacznej części zostają na posadzce salonów, tak wszystko leci z nich wśród tańca; nie mówię o starych mamach które kiwając się na krzesłach mimo najszczerszej chęci obserwowania, kto też z Marynią tańczy, zamykają oczy snem zmorzone, ale nawet tłuściuchni papowie narzekają, złorzecząc panu Bogu, że im dał córki, których za mąż wydać nie mogą. Zważcie czytelnicy, że gdy do tych wszystkich dolegliwości moralnych przyczepiła się jeszcze walka o godność królowej balu

między kilkoma kandydatkami, a nie zdziwicie się, jeżeli zapomnieli ludzie o secesji, o dżumie, o tramwajach i innych sprawach świata tego. Jakby z łaski i to ziewając wspominają czasem o Dr. Biesiadeckim, który pojechał do Moskwy na obserwację tej zarazy i to w wielkim podobno zostaje ambarasie nie zastawszy ani jednego zadżumionego w tych okolicach. Jak donosi gubernator Astrachański, wszyscy chorzy wymarli i zarazy już nie ma w całej Rossji, otóż to nazywa się wypłatać komuś figla!

Jednakże kochani sąsiedzi nasi nie próżnują: wydusiwszy dżumę, posłali nam księgosusz. Zastrzegam się, że tu nie jest mowa o posusze na płody tak zwane literackie, dla tych atmosfera zawsze sprzyja i rodzą się jak grzyby po deszczu. Nie, tu mam na myśli zarazę na bydło, która się już rozpostarła w trzech nadgranicznych powiatach i daleko dotkliwiej dokucza szlachcie, niż księgosusz literacki, jakkolwiek na uśmierzenie tego ostatniego istnieje nieustanna kontumacja wraz z pałkowaniem i całopaleniem bez żadnego wynagrodzenia. Mój mocny Boże, jaka to rażąca niesprawiedliwość istnieje jeszcze na świecie! Jeżeli ma się zabijać płod naprzykład bydlęcy, to jest woły, krowy lub cielęta podejrzane o zarazę, to przystępują do tej operacji z całą oględnością; obserwują, odosabniają, leczą, a jeżeli zabiją, to płacą. Z płodami zaś inteligencji ludzkiej, która bądź co bądź zawsze coś więcej warta od płodów krowich, cenzura naprzykład moskiewska i pruska daleko bezwzględniej postępuje; niszczy, pali, przekreśla, a czasami jeszcze rodziców wsadza do kozy, biedni ci literaci!

U nas we Lwowie odczyty są prawie zapomniane, w uszach brzmią same tylko polki, mazury i walce, gdy przeciwnie w Warszawie p. Wojciech Dzieduszycki estetycznie zachwyca słuchaczy. Jego wycieczki do Florencji wkraczając w dziedzinę absolutnego piękna, bardzo sympatycznie są tam przyjmowane. Szkoda tylko jak powiada Kurjer Warszawski, że mało kto je słyszy; prelegant bowiem na pierwszym odczycie jeszcze nie wyrobił sobie głosu odpowiedniego dla warszawskich słuchaczy, którzy własną chwałą oddawna zagłuszeni, potrzebują tuby morskiej aby o cudzej sławie się dowiedzieć.

Dzięki niezmordowanej wytrwałości dwojga kochanków korespondujących z sobą wierszami w inseratach Dziennika Polskiego, poezja nasza zaczyna więcej interesować publiczność. Uważaliśmy, że zapamiętali nawet politycy, zobaczywszy najświeższy numer Dziennika, najprzód przewracają go na ostatnią stronnicę i szukają politycznej korespondencji „do mojego aniołka", Okoliczność ta zwróciła uwagę wszystkich zajmujących się rymowaniem, gdzie właściwie powinni szukać umieszczenia swych tworów aby czytanemi były. I oto pomiędzy gruchającą parę wierszami, wkradł się temi czasy trzeci intruz, który pomięszał szyki korespondującym w ten sposób, że dziś już oni sami dojść nie mogą gdzie leży prawdziwe uczucie. O ile słyszeliśmy przybędzie tu jeszcze więcej takich nie proszonych poetów i niezadługo między inseratami czytać będziemy pięcioaktowe tragedje niesłusznie odrzucone przez komisję konkursową imienia hr. Aleksandra Fredry.

A propos tego konkursu i mnogości nadesłanych płodów coś w liczbie czterdziestu kilku sztuk różnego wagomiaru, podobno jedna czy dwie mogą się kwalifikować do grania. O ile wiemy dotąd, komisja wybrała jedną pod tytułem: „Na dwóch stołkach", lecz co się tyczy warunków nowego konkursu, to na przyszłość pod tym względem mają być zastosowane podobnego rodzaju środki ostrożności i desinfekcji, jakie ministerstwo zaaplikowało w Brodach, Podwołoczyskach i Szczakowy co do dżumy... to jest żądanem będzie poświadczenie na kopercie, przez odnośne organa krytyczno-policyjne, że to nie jest znów takie głupstwo, któregoby czytać nie warto.

Kończąc niniejszą kronikę moją, nie mogę przenieść na sobie, aby nie pocieszyć szanownych obywateli z Podola uprawiających kukurudzę, że w ostatnich czasach odkryto olej nawet w kaczanach tej rośliny, i że pewien właściciel ziemski z Bessarabii zamierza wybudować fabrykę dla tego rodzaju produkcji, która pozwoli zużytkować dotąd marnowane odpadki. Wobec takiego odkrycia oleju nawet w bezmyślnych kaczanach kukurudzianych, któż dzisiaj wątpić może o istnieniu tego surogatu w głowach ludzkich, jak o tem niektórzy filozofowie twierdzili. Dzięki więc nowym zdobyczom chemii już nic zmarnowanem nie będzie i z tych nawet głów, które były do niczego, choć jakieś smarowidła ułatwiające innym jazdę da się wyciągnąć.

LISTY Z KRAJU.

(Dokończenie).

Kto pragnie oświaty, dobrobytu i uspołecznienia naszego ludu, a zna przytem dokładnie smutne w kraju stosunki, nie może obecnie domagać się tworzenia kółek włościańskich; do osiągnięcia upragnionego celu ma wskazane inne środki a mianowicie: nawoływać na uprawnionych rodaków aby w jak najczęstszej z ludem zostawali styczności, aby sobie za punkt honoru uważali branie udziału w radach gminnych, w radach szkolnych miejscowych i t. p. czynnościach, aby starali się jako sędziowie polubowni godzić spory wśród włościan, aby dalej energicznem a sumiennem spełnianiem urzędów autonomicznych odsuwali u ludu nieufność a jednali sobie jego szacunek i uznanie, i chronili go od wyzyskiwań i nadużyć i występywali w jego opiece. Szlachty polskiej mało już jest, ale im jest mniej, tem większy na niej cięży obowiązek opiekowania się ludem. Kto z was panowie w mieście może zająć się losem ludu? Kto zna jego potrzeby i bole, jego przesądy i zwyczaje, kto go rozumie? a wielu z tych, co prócz szlachcica są wśród włościan na wsi, zadają ludowi nie pokarm duchowy ale truciznę?

Do poprawienia dobrobytu w ogóle a względnie do podniesienia rolnictwa w kraju, powołane jest w pierwszym rzędzie Towarzystwo gospodarskie. W pierwotnem założeniu miało Towarzystwo gospodarskie, przeważnie na oku rozwój gospodarstw wielkich: skutkiem tego założyło i utrzymywało szkołę rolniczą w Dublanach. Z biegiem czasu i ze zmianą stosunków, uznało było centralne Towarzystwo gospodarskie potrzebę reorganizacji decentralizacyjnej. Odtąd we wszystkich prawie powiatach w kraju potworzyły się oddziały towarzystwa gospodarskiego i na nich główna zaciężyła waga w spełnianiu krajowego zadania. Że oddziały gospodarskie nie tylko gospodarstwami większemi zajmować się powinne, że owszem przeważnie mają dbać o rozwój gospodarstw włościańskich, to przyzna mi każdy, kto jedynie zastanowi się i zbada ducha, jaki spowodował reorganizację towarzystwa gospodarskiego. Jeśli nadto weźmiemy pod uwagę i tę okoliczność, że szkołę Dublańską objął obecnie sejm pod zarząd krajowy, przychodzimy do przekonania, że na Towarzystwie gospodarskiem spoczywa nie tylko rozdawnictwo skromnych, malutkich subwencyi rządowych, ale ważniejsze zadanie, ale wielki obywatelski obowiązek oświaty i uspołecznienia ludu, a temsamem rozwoju ogólnego dobrobytu i podniesienia rolnictwa w kraju. Dotychczas niestety oddziały gospodarskie w przeważnej części grzeszą ospałością lub martwotą. Zasklepione w małych kółkach szlacheckich ani dla siebie ani dla nikogo żadnych nie przynoszą korzyści. Świetny wyjątek, godzien być za wzór postawiony krajowi, stanowi Oddział Grudecko-Rudeński pod przewodnictwem czcigodnego p. Henryka Janki. Tam szlachta, księża, nauczyciele ludowi wespół z włościanami biorą udział w obradach, poznają się i pouczają wzajemnie. Gdyby podobnie chciano postępować w całym kraju, błogie ztąd niezawodnie wynikłyby skutki. Zamiast więc organizowania obecnie kółek włościańskich byłoby do życzenia, aby na rocznem zgromadzeniu delegatów Towarzystwa gospodarskiego postawiono na początek wniosek następującej treści: „Każdy członek oddziału Towarz. gosp. ma obowiązek znanych mu z uczciwego zachowania się włościan wprowadzać do grona Towarzystwa". Kończąc niniejsze me pobieżnie uczynione uwagi dodaję, że takowe czynię ze wschodniej części Galicji odnośnie do projektowanych kółek włościańskich, których organizowaniu u nas stanowczo jestem przeciwny.

Adrianówka 19 stycznia.

Zdzisław Onyszkiewicz.

BIBLJOGRAFJA POLSKA.

— *Bronikowski A.* Powieści historyczne. Kazimierz Wielki Esterka. Moina, 8ka, str. 294. Lwów 1879. Cena 2.12 ct.

— *Dimml Wł. X.* Kazania przygodne, 8ka, str. 35. Lwów 1879. Cena 40 ct.

— *Feigel Dr. L.* Otrucie gazem tlenku węgla a w szczególności gazem świetlnym ze stanowiska sądowo-lekarskiego opisane, 8ka, str. 147. Lwów 1778. Cena 1.20 ct.

Kętrzyński Dr. W. Pamiętnik Zbigniewa Ossolińskiego, Wojewody Sandomierskiego 1823. 8ka str. 133. Lwów 1879. Cena 90 ct.

— *Lewicki Jan.* Ruch Rusinów w Galicji w pierwszej połowie wieku panowania Austrji (1772—1820), 8ka, str. 32. Lwów 1879. Cena 30 ct.

*** *Serkowski Dr. Bolesław.* Teorja fermentacyjna przeziębienia, zakażenia krwi i gorączki, 8ka, str. 83. Kraków 1878. Cena 80 ct.

— *Socjalizm*, jego historja i zasady przez X. F. G. 16ka str. 50 Lwów 1879. Cena 25 ct.

— *Testament pana Dyzmy.* Obrazek, 4to, str. 16. Lwów 1879. Cena 40 ct.

— *Wierzbicki Dr. D.* O kalendarzu pod względem historycznym, astronomicznym i kościelnym, 8ka, str. 129. Lwów 1879. Cena 75.

— *Zarubin Jakób.* Rozkład naszych społeczno-ekonomicznych stosunków i zaradcze środki przeciw zubożeniu kraju, 8ka str. 48. Lwów 1879. Cena 40 ct.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura, sztuka i nauka.

*** *Martwe dusze* (Miortwyje duszi) powieść Mikołaja Gogola. Poznań, 1879.

Arcydzieło to literatury rosyjskiej, które autorowi zjednało najgłośniejsze w Rosji imię, dopiero teraz doczekało się polskiego przekładu i to niestety wcale niezasługującego na pochwałę. Tłumacz nietylko nie starał się o artystyczną stronę przekładu, ale tłumaczył w ogóle pobieżnie, dosłownie, tak że dla nieznających rosyjskiego języka mnóstwo wyrażeń, zwrotów, słów będzie niezrozumiałych. Nadobitek korekta jest tak haniebna jak podobnej nie zdarzyło się nam spotkać.—Pomimo to wszystko nie możemy nie polecić książki czytelnikom, zawsze jeszcze pozostało tyle, że wystarczy za najlepszą powieść, jako krytyka zwyczajów i stosunków ogólno ludzkich. Powieść jest poprzedzona życiorysem autora skreślonym przez hr. Zygmunta Kierdeja.

*** *Dzieje ojczyste (???) ze szczególnem uwzględnieniem Historji Galicji. Dzieło prof. uniw. Jagiell. M. Bobrzyńskiego do użytku wyższych klas szkół średnich zastosował Michał Chyliński. Kraków 1879.*

Zkąd powstał taki tytuł: *Dzieje ojczyste?* Dla czego nie *Dzieje Polski?* bo to nie są dzieje Polski, gdyż autor dzieje Polski kończy na pierwszym rozbiorze kraju, a dalej kreśli dzieje Galicji, są to więc dzieje Galicji, która że wchodziła przez czas jakiś (coś około 800 lat) w skład Rzeczypospolitej Polskiej, więc tu podane i dzieje Polski do r. 1773. Nie Polska jest bowiem ojczyzną autora, ale Galicja. O książce tej ciekawej i z innych względów pomówimy obszernie Nie mamy jeszcze książki p. Bobrzyńskiego, na której się oparł pan Chyliński, nie wyszła bowiem dotąd z druku.

*** Autor „Mściwoja i Swanhildy“ pan Bronisław Grabowski wydał nową cztero-aktową komedję p. t. *Sprzymierzeńcy*.

*** Henryk Struwe napisał broszurę o *Janie Jakubie Rousseau*, w której skreślił życiorys filozofa genewskiego, oraz zestawił różne o nim poglądy.

*** *O różnych metodach leczenia*, opracował S. W. Łukowski. Popularnie nakreślona ta książeczka oddać może nie małe usługi publiczności szerząc zdrowe pojęcia o hygienie i wiele innych.

*** Opuściła prasę *Historja filozofji prawa i państwa* Ferd. Waltera w polskim przekładzie dokonanym przez Gustawa Roszkowskiego.

*** „Z salonów żydowskich“, szkic do powieści skreślony przez „Żydówkę“, wyszedł w osobnej odbitce

*** Kółko prawników w Oświęcimie i z pobliskich powiatów, świeżo zawiązane, na pierwszem walnem zgromadzeniu d. 5. bm., między innemi uchwałami powzięło zamiar wydania *książki*, traktującej w sposób dla ludu przystępny o prawie prywatnem i postępowaniu sądowem w prawach cywilnych. W tym celu wybraną została komisja redakcyjna.

*** Zajmująca powieść p. Stanisława Grudzińskiego, odznaczająca się nader szlachetną tendencją pod tytułem: „Łokciem i miarką“, wyszła w osobnej odbitce *Niwy*.

*** Matejko po powrocie swoim z czarownej Italji wykończył nowe płótno „Klęska pod Warną“. Obraz ten mniejszych rozmiarów przedstawia Władysława Jagiellończyka, króla Polski i Węgier, broniącego się rozpaczliwie w nieszczęsnej potrzebie.

*** Nakładem Jana hr. Działyńskiego wychodzi obecnie Paryżu dzieło „Teorja wyznaczników (determinantów)“ p. Marjana A. Baranieckiego. Całość obejmie 40 arkuszy. Pewną ilość egzemplarzy przeznaczono na drogę prenumeraty.

*** *Mapa gwiazdy*. Słynny astronom włoski Schiaparelli nakreślił na podstawie swych spostrzeżeń mapę najbliższej nam planety Marsa. Powierzchnia tej gwiazdy zupełnie jest podobną do powierzchni naszej ziemi. Bieguny Marsa, północny i południowy, pokryte są śniegiem i lodem, które się na przemian zwężają i rozszerzają. Na mapie naznaczone są morza i stały ląd, a nawet wielkie rzeki z ujściami do Marsowego oceanu. Ponieważ warunki życia na Marsie są niemal te same jak i na ziemi, ztąd wniosek, że i tam żyją istoty, do ziemskich podobne.

*** Opuścił prasę zeszyt V. *Bibljoteki Ossolińskich*, czyli Zbioru materjałów do historji polskiej i zawiera: *Pamiętnik Zbigniewa Ossolińskiego* wojewody sandomierskiego † 1623. Z polecenia zakładu Nar. Im. Ossolińskich wydał Dr. Wojciech Kętrzyński, dyrektor Bibljoteki Ossolińskich.

*** *Stary kościół Miechowski*, obrazek obyczajów wiejskich w narzeczu górnoszląskim napisał ks. Bontzek. Bytom. Nakład autora 1879. str. 209 i XVI. Jestto milutki obrazek ludowy, który stanie się popularną książką między ludem Szlązkim, a może również wdzięcznie będzie czytanym przez cały lud polski. W ks. Bontzku zyskujemy nowego utalentowanego pisarza ludowego.

*** *Don Juan*, Bajrona. Pieśń druga, trzecia i czwarta. Opowiadanie o Haidzie. Przekład Wiktora z Baworowa. Tarnopol 1879.

Obszerniejszą ocenę podamy później.

*** Na posiedzeniu Komisji Sanitarnej w Krakowie doniesiono iż śmiertelność tamże w 1877 r. wynosiła 40.3 a w 1878 r. 37.8 na 1.000.

*** W d. 10. stycznia, na posiedzeniu Wydziału historyczno-filozoficznego przedstawiono pracę pseudonyma Kaź. Wierzbięty „Mandligiraj Chan Tatarów i jego stosunki z Polską 1469 do 1515“. Pan Szujski materjały do dziejów Maćka Borkowicza, znanego twórcy konfederacji rycerstwa 1352 r.

*** Z funduszu ks. Czartoryskich na nagrody za prace historyczne, otrzymali: p. Jan Leniek „Żywot biskupów krakowskich w w. XIII“; pan M. Mikrot „Ustawienie chronologiczne i krytyczne objaśnienie dat kalendarza Kapituły krakowskiej, opatrzonego zapiskami historycznemi“; W. Czajewski „Dwukrotne poselstwo kardyn. Franciszka Commendoniego do Polski“.

*** W Muzeum techniczno-przemysłowem krakow. rozpoczął wykłady o gospodarstwie dla kobiet, p. Bron. Ryx.

*** Na posiedzeniu komisji dla sztuki w Ak. Um. Krak., d 11 stycznia, p. Łuszczkiewicz mówił o Katerze Włocławskiej, a p. Popiel uwagi nad kaplicą Jagiellońską Św. krzyża na Wawelu; p. Szujski zaś przedstawił rzecz o kościele miniaturowym z XI wieku.

Na posiedzeniu Tow. Lekarskiego Krak. Dr. Rydel mówił o myopii czyli krótkowidztwie u uczniów klas wyższych, skutkiem złego oświetlenia sal szkolnych, występującej licznie.

Wydział historyczny Tow. N. Poznańskiego na posiedzeniu d. 20. stycznia słuchał rozprawy Dr. K. Szulca „Wyjaśnienie mitycznej historji polskiej i mitologii słowiańskiej“, a hr. Korytkowski czytał: „Żywot arcybiskupa Jana Łaskiego“.

*** Uczone noty po zmarłym Teinerze nabył hr. Orłowski:

Wiadomości społeczne.

*** W liczbie osób, które przyjęły służbę w Persji, jest jeden Polak, p. Bykowski z Galicji.

*** W grudniu roku zeszłego instalowało Tow. Tatrzańskie szkółkę snycerstwa w Zakopanem, której rząd przychodzi w pomoc.

*** Towarzystwo Polskie w Berlinie „Przytulisko“ obchodziło drugą rocznicę istnienia.

*** Prusy zachodnie obchodzić będą jubileusz Kraszewskiego, przez wysłanie adresu i odbycie 19go marca posiedzenia Tow. Naukowego w Toruniu, na którem będzie odczyt o zasługach jubilata.

*** Związek wolno-mularski przy końcu roku 1878 liczył lóż w różnych krajach i okolicach: w Cesarstwie Niemieckiem 342 loże, w Szwajcarji 33, w Węgrzech 44, w Rumunii 11, w Serbii 1, w Anglji i Walii 1,187, w Szkocji 334, w Irlandji 289, w Gibraltarze 5, na Malcie 4, w Holandji 44, w Luksemburgu 2, w Belgii 15, w Danji 7, w Szwecji i Norwegji 18, we Francji 287, w Hiszpanji domniemalnie około 300, w Portugalji 22, we Włoszech 110, w Grecji 11, w Państwie Otomańskiem 26, w Egipcie 28, w Tunis 2, w Algierze 11, w Marokko 2, w afrykańskich krajach nadbrzeżnych (w Liberii, w osadach angiel., franc. i portug.) 11, na wyspach afrykańskich (Kanaryjskich, św. Heleny, Maurycego i td.) 25, w Ziemi Kapskiej wraz z Natalem i rzeczpospolitą Oranje 61, w Arabii 1, na lądzie stałym Indyj Wschod. (wraz z Kochinchiną franc.) 118, na wyspach wsch. indyjskich (holenderskich i angielskich, z Ceylonem) 16, w Chinach 13, w Japonii 5, w Polinezji 5, w Australii 229, w Nowej Zelandji 84, w Stanach Zjednoczonych Ameryki półn. 9.894, w Kanadzie 536, na innych wyspach Indyj zach. 59, w Meksyku około 13, w Ameryce środkowej 1, w Gujanie 4, w Wenezueli 41, w Peru 27, w Chili 16, Rzpltej Argentyńskiej 50, w Uruguay 40, w Brazylii 256, razem z niewiadomemi prawdopodobnie około 15,000 lóż.

*** Bezrobocie w przędzalniach bawełny w Oldham (w Anglii) ustało. Robotnicy przyjęli bez wszelkich zastrzeżeń obniżenie płacy o 5%.

*** Papież przyjął plan biskupa Strossmayei'a co do organizacji kościoła katolic. w Bośnji. Bośnia będzie tworzyć dyecezję, której siedliskiem ma być Serajewo; biskup będzie pobierał 12.000 zł. rocznego uposażenia i dochody z pewnej posiadłości ziemskiej. Na kapitułę i seminarjum wyznaczono 24.000 zł.; w Zworniku, Banialuce i Trawniku będą ustanowieni generalni wikarjusze, pobierający 6.600 zł. rocznie, oraz dochody z pomniejszych dóbr ziemskich. Nuncjusz papiezki w Wiedniu otrzymał polecenie porozumienia się z Austrją co do przyjęcia powyższego planu.

*** W Stowarzyszeniu niesienia pomocy ubogim uczniom starozakonnym w Krakowie zaszła ta zmiana, iż obecnie będzie ono opiekowało się i ubogą młodzieżą tego wyznania szkół średnich i ludowych.

*** Tow. galic. oficjalistów prywatnych, istniejące od 1867 r., liczyło w zeszłym roku 1.603 członków z funduszem 201,290 i roczną wkładką 15.790 zł.; emerytów było 91.

*** W Bytomiu założono „Centralne Tow. gospodarcze dla Górnego Szlązka“, prezesem którego został p. Przyniczyński, redaktor „Postępu Rolniczego“.

*** W poznańskiem mają być przywrócone cechy.

*** Na Mazurach w Warmji, dla czterech powiatów zawiązało się kółko rolnicze.

ROZMAITOŚCI.

JULJUSZ CRÉVY

Po raz to trzynasty w bieżącem stuleciu Francja zmienia zwierzchnika!

Mac-Mahon opuszcza właśnie pałac elizejski, kona świetność niedokończonego jego septennatu, autor słynnego „j'y suis j'y reste“ trwać nie zdolen do ostatniego momentu.

„Vaincu glorieux“ ustępuje przepotężnemu prądowi, książę Magenty, jenerał Napoleona III, obywalelowi Grévy'emu...

* * *

W ciągu swej sześcioletniej prezydendury, zkądinąd pełnej moralnego i materjalnego rozkwitu, Mac-Mahon rządzić usiłował, istotnie nigdy jednak nie rządził.

„Lalka“, rzucony przez któreśtam z bulwarowych pism epitet, przejść może do historji...

Następca niezapomnianego nigdy Thiersa, po swoim okrutnym poprzedniku nie zdaje się nie odziedziczył krom... prezydenckiego krzesła, na które z marsową siadł butą...

* * *

Właściwie godnego swego przedstawiciela widzi rzeczpospolita dopiero dzisiaj w Grévy'm.

Kilkakrotnie namawiany do kandydowania, Grévy wahał się zawsze, dopiero w 1848 roku, gdy go prowizoryczny rząd w rodzinne góry Jura wysłał dla uspokojenia rozdrażnionych umysłów, postawił swą kandydaturę do konstytuanty i wyszedł z wyboru prawie jednomyślnością głosów.

Tu prawna komisja powołuje go na członka a wkrótce potem zgromadzenie na swego wice-prezydenta.

W obradach wszystkich brał Grévy gorący udział, nie solidaryzując się wszakże z żadną frakcją; zwyczajnie łączył swój głos wraz ze skrajną lewicą.

Dopiero gdy przyszła pod debaty kwestja władzy egzekutywnej prezydenta, Grévy zajął oddzielne stanowisko i podał wniosek śmiały a zdążający do przeniesienia punktu ciężkości rządu do izb i powierzenia prezydentowi tych atrybucyj, jakich używa szef związku szwajcarskiego.

Wniosek ten miał za sobą tylko 158 zwolenników, 643 posłów oświadczyło się przeciwko niemu,

Odrzucenie mocji Grévy'go utorowało drogę prezydenturze Ludwika Napoleona a później... cesarstwu.

* * *

Od pierwszej chwili objęcia rządów przez Ludwika Napoleona, Grévy stanął w szeregu opozycji.

Walka, jaką z nim podjął z okazji rzymskiej wyprawy, uczyniła Grévy'ego nawet głową tego stronnictwa.

Po rozwiązaniu konstytuanty wezwany powtórnie do prawodawczego ciała, Grévy należał zawsze do nieprzejednanych, do tych „incorrigibles“ co z Bonapartem paktować nie chcieli.

W dalszych robotach udziału nie biorąc, usunął się w zacisze swego adwokackiego biura.

* * *

W r. 1869 Grévy jawi się powtórnie w kole swych wyborców departamentu Jura.

Kandydatura jego była tak pewną, iż rząd nie myślał nawet o postawieniu kontr-kandydata.

Od roku tego, aż do upadku cesarstwa siedział znów Grévy na skrajnej lewicy, gromadząc około siebie potężniejącą z każdym dniem imperjalistyczną opozycję.

Spokojny w chwili wystąpienia, umiarkowany w formie, nigdy nie biorący rzeczy nerwowo, co ludzi jego stronnictwa zawsze było właściwością, konsekwentny, pełen przekonania i wiary w swój cel, prawy i dumny, zdobył sobie Grévy stanowisko potężne, zbliżone nieco do owego, które zajmował Deak podczas walk o węgierską konstytucję.

* * *

Nazajutrz po Sedanie przyjaciele z lewicy zażądali od Grévy'ego pomocy.

W dniu 4. września napierał on o natychmiastowe zwołanie zgromadzenia narodowego i wpadł ztąd w koliżję z Gambettą i Favre'm, którzy wnioskowi temu racji nie przyznawali.

Ta różnica zdań nie przeszkodziła wszakże, iż w lutym 1871 roku na zgromadzeniu narodowem w Bordeaux powołano Grévy'ego jednogłośnie na prezydenta tegoż zgromadzenia.

* * *

Grévy nie jest świetnym parlamentarnym talentem, nie zalicza się do sztukmistrzów błyskotliwego słowa, których Francja ma tak wysokich; w intryżkach i knowaniach nie próbował się też nigdy, ale przedni zeń i otwarty mowca, logiki nieubłaganej szermierz, apelujący bardziej do rozumu aniżeli fantazji słuchaczy, człowiek napełniający przekonaniem, iż to co mówi i działa jest dla niego świętem!

Wolen od efekciarstwa, wróg szarlatanerji, czysty w polityce jak Waddington, Grévy dla spokojnych czasów i spokojnego ludu byłby ideałem prezydenta...

Oby nim był i dla Francji!

* * *

Grévy jest synem wieśniaka z gór jurajskich.

Liczy on obecnie lat sześćdziesiąt i sześć.

Wytrwały wędrownik lasów i zapalony lubownik przechadzek, niezmęczony myśliwiec, niczem nie przejawia późnej już życia godziny.

Człowiek prawy od stóp do głowy, głęboki patrjota, cieszył się Grévy-adwokat wielkim rozgłosem.

I w tym zawodzie ceniono jego skromność i unikanie komedjanctwa.

Jak w wirze parlamentu tak i na ławie obrońcy potrafił on zachować olimpijski spokój.

Przeszłość Grévy'ego bez cienia, nieskalana niczem!

Majętnym Grévy nie jest; polityka nie była dlań dojną krówką ..

* * *

Nawet... taki Granier de Cassagnac nie ważył się tknąć go kiedykolwiek!

* * *

Jesteśmy w pracowni Grévy'ego.

Szeroki, płaski stół i krzesło przed nim wolterowskie stanowią główną gabinetu ozdobę.

Na Grévy'ego długo czekać musimy, wstaje on bowiem dość późno.

Głodu snu jeszcze nie zaspokoił, przyjmie nas więc w szlafroku, bardziej leżąc na fotelu aniżeli siedząc.

Gość każdy jest mu pożądany, odchodzącego do samych drzwi odprowadzi.

Klasyczna, imponująca twarz rozpogodziła się już szczerym uśmiechem bez ironji lub sarkastycznego odcienia.

I wypisuje się na niej jeden wielki wyraz: równowaga!

* * *

Grévy lubi kobiety, cygara, bilard i bezcelową przechadzkę.

O pociągu do płci pięknej, bardzo żywym, mówią może najwięcej złośliwi reporterowie; wada ta wszakże źle go Francuzom nie poleca, wątpimy nadto, czy i u nas zgotuje mu nieprzyjaciół.

W cygarach przebiera ze znajomością starego smakosza, w grze bilardowej jest mistrzem, choć przedtem w chwilach wolnych od żmudnej pracy oddawał się „con amore“ szachom.

Co do przechadzek, tych używa często a samotnie, nie rad jeśli ktoś zmusi go do zdjęcia kapelusza.

* * *

Człowiek prywatny również jak i mąż stanu Grévy nie ma nieprzyjaciół.

Jestto może jedyny Francuz, którego życie publiczne od pierwszych do niniejszych chwil ostało się bez cienia.

Mówi się: „Grévy“ i to wystarcza.

Tak przecież krótko argumentowano już raz po śmierci „pana Thiersa“.

* * *

— „Je ne veux pas que la République fasse peur...“

Oto był jego program kiedy w r. 1848 stanął w Jura jako komisarz rządowy.

— „Nous devons à la France sept ans de tranquillité.“

To znów jego pierwsze słowa wyrzeczone z krzesła prezydenta rzeczypospolitej.

* * *

Kawalerami w każdym razie okazali się z okoliczności ostatnich wypadków trzej dżentelmani: Mac-Mahon, hr. Beust i lord Lyons.

— Jako obywatel i żołnierz winienem pierwszy złożyć uszanowanie przedstawicielowi władzy najwyższej w narodzie i rzeczypospolitej — powiedział Mac-Mahon 30-go z. m. do Grevy'ego.

Za nim pierwsi przekroczyli progi nowego prezydenta ambasador austrjackl i angielski.

* * *

W pałacu elizejskim leżały dnia 31. z. m. dwie książki.

W jedną wpisywali się żegnający Mac-Mahona, w drugą wszyscy ci co szli z powitaniem Grevy'ego.

Zachodzące i wschodzące słońce.

* * *

Zauważano podobno, iż księga Mac-Mahona więcej mieściła podpisów; nikt wszakże nie ośmielił się w dwóch figurować równocześnie...

* * *

Pani Grévy dowiedziawszy się o powołaniu jej „Juljusza“ na czoło Francji, nie ukryła swych obaw i troski.

— Zdaje mi się, że tracę męża — powiedziała jednej z przyjaciółek.

Gospodarnej żonie mieszczańskiej żal będzie bardzo rozstać się z mieszkaniem na trzeciem piątrze ulicy St. Armand, w którem „wszystko było jak w zegarku“.

Ach! trzeba będzie zbierać i pakować wszystkie zabytki starożytności w salonie tak gustownie ułożone...

Kto wie, może przy przeprowadzeniu straci swe ucho niejeden chiński lub japoński dzbanuszek.

Zresztą pani Grévy nie lubi wielkich przyjęć i salonowych uroczystości.

Mąż wziął ją skromną i bezposażną panienkę, nie przygotowując do odgrywania w modnym świecie jakiejkolwiek roli.

Wyjeżdżająca stajnia Mac-Mahona i cały świat jego służby przeraził biedaczkę.

Na widok listy cywilnej — zbladła.

Zanosi się jednak na to, iż pałac elizejski będzie wkrótce bardziej podobnym do waszyngtońskiego „białego domu“, nie przypominając w niczem tuileryjskich ruin.

* * *

Pani Grévy była właśnie w salonie gdy w drzwiach ukazał się wsparty na ramieniu służącego stary Dufaure.

Poczciwina pospieszył z Wersalu do Paryża aby z całą galanterją francuską powinszować „pani“ zaszczytu jaki spotkał „pana“.

Z płaczem rzuciła się w ramiona czcigodnego starca małżonka nowo obranego prezydenta...

Wytrwały, wielki patrjota, utulił ją kilkoma gorącemi słowy, nadmieniając iż wydarzenie dzisiejsze uważać będzie za najpiękniejszy i ostatni czyn swego życia.

Gdy mu zaś pani Grévy wyrzucać poczęła, iż ciężar prezydentury zrzucił ze swych ramion na barki jej męża — odpowiedział pokaszlując:

— Przy moim, starym zwyczaju, zasypiania o godzinie 7-mej, nie mógłbym szanowna pani przedstawiać rzeczypospolitej.

* * *

(Dufaure jednak — że nadmieniamy tu nawiasem — już o godzinie 4-tej rano we fraku i w białym krawacie siada do roboty.)

Żona jego zmarła przed rokiem o godzinie 6-tej rano.

O 8-mej Dufaure z zaczerwienionemi i napuchłemi od płaczu oczyma pracował przy biórku ministerjum sprawiedliwości na placu Vendome).

* * *

Winniśmy jeszcze poznać się z panną Grévy.

Jestto piękna, silna, heroiczna prawie, godna swego ojca, dziewica.

Zdarzyło jej się raz — to co i inne panie spotkało — iż zakochała się w tenorze Capoul'u.

Pierwsze swoje wyznanie złożyła w gabinecie ojca.

— Możesz mu się dać uprowadzić — rzekł Grévy — wtedy opuszczę Francję; możesz pójść za niego, wówczas zagrzebię się w prywatnem życiu...

Ojciec i córka nie zamienili ze sobą słowa więcej — o Capoulu nigdy nie było już mowy.

* * *

Wieczorem bulwarowym szlakiem wlókł się nadpiły robotnik.

Trunek ubezwładnił go tak dalece, iż przechodząc na drugą stronę ulicy potknął się i upadł pod konie.

Poskoczył ku niemu przechodzący Grévy i podał mu rękę...

— A!... obywatel Grévy... dziś podajesz mi rękę... ale jak zostaniesz prezydentem to mnie znać nie zechcesz — mruknął robotnik.

— Nie marzę o tym zaszczycie, mój drogi, lecz gdyby mnię spotkał kiedykolwiek, nie zapomniałbym o tobie i zaprosiłbym cię do siebie na obiad... wszakże pod warunkiem.

— Co? może chcesz, abym przyszedł we fraku!...

— Nie! chciałbym abyś był trzeźwym.

* * *

Powiedzieliśmy wyżej, iż Grévy był namiętnym zwolennikiem szachów.

Wówczas to zachodził on często do znanej dobrze wszystkim odwiedzającym Paryż Polakom, o „Café de la Régence“.

Tu rad się przyjaźnił z naszymi rodakami, siadając z nimi do gry długiej i ożywionej.

Zwyczajnymi jego partnerami byli pp. Bąkowski i Budynowski.

Treść Nr. 3. str.

Z drukarni Dziennika Polskiego. Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki